ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. NR 3 (239

LONDYN, 20 STYCZNIA 1952 R.

DONIOSŁE ORĘDZIE PAPIESKIE (24. 12. 1951)

UDZIAŁ KOŚCIOŁA W SPRAWIE POKOJU

W wigilię Świąt Bożego Narodzenia Ojciec św. Pius XII ogłosił doroczne orędzie, które tym razem za swój szczególny temat miało sprawę pokoju, opartego na prawdziwej wierze Chrystusowej.

Enuncjacja papieska ma szczególnie doniosłe znaczenie w chwili obecnej, gdy siły zła prą do wywołania pożogi wojennej, przygotowując wojnę pod hasłami fałszywego i podstępnego pokoju. Ojciec św. daje jasne definicje tego, na czym prawdziwy pokój polega. Enuncjacja jest i z tego powodu doniosła, że Pius XII nie ograniczając się do wskazania ogólnych zasad, rozważa najważniejsze punkty szczegółowe. Jest więc to orędzie rodzajem zbioru definicji Kościoła katolickiego w sprawie pokoju.

Orędzie wigilijne Ojca św. dajemy w całości według tekstu polskiego podanego przez Inter-Catholic Press Agency.

RED.

Już po raz trzynasty, z łaski Wiecznego Najwyższego Kapłana, danym Nam jest przy święcie Bożego Narodzenia zwrócić się z wyżyn tej Stolicy z Naszym słowem do katolickiego świata. Każdego roku ta błoga uroczystość nastręcza Nam sposobność przesłania wszystkim wiernym ojcowskiego pozdrowienia z głębokim odczuciem tajemniczego węzła, jaki u stóp Żłobka Nowonarodzonego Zbawcy łączy odkupionych przez Chrystusa w wierze, nadziei i miłości.

Przy załamaniu się tylu ziemskich instytucji, przy bankructwie tylu zmiennych programów, Duch Boży podtrzymuje Kościół, swą Oblubienicę, darzy go pełnością życia, odnawiającą się ustawicznie młodzieńczością, której przejawy, coraz bardziej świetlane, odkrywają jego nadprzyrodzony charakter. Jest to niewymownym pokrzepieniem dla każdego z wierzących, a zagadką nie do rozwiązania dla tych, co są wierze przeciwni.

Ale jakkolwiek wielka jest Nasza radość przy tym spotkaniu wigilijnym, które się dokonywa w poczuciu łączności z wiernymi wszystkich kontynentów, owszem — ze wszystkimi, złączonymi z Nami wspólnością Wiary w Boga — to przecież twarda rzeczywistość chwili rzuca na tę uroczystość ponury cień złowrogich chmur, wciąż jeszcze unoszących się nad światem.

WKŁAD KOŚCIOŁA W SPRAWĘ POKOJU

Wiemy, z jakim to wewnętrznym zadowoleniem i z jaką bezwzględną uległością pobożni Nasi synowie zawsze słuchają głosu swego wspólnego Ojca. Ale nie tajnym Nam także jest, z jak wielkim napięciem wyczekują znowu na jego słowa w związku z wielkim zagadnieniem pokoju, jakie porusza i gnębi serca; na słowa, wyrażające ściśle i konkretnie udział Kościoła w sprawie pokoju. Chodzi mianowicie o określenie dziedziny, do której Kościół nie może się mieszać; oraz o określenie tego, co może i co powinien uczynić i co faktycznie czyni. Oby Ojciec Niebieski, który przy narodzeniu swego Boskiego Syna wysłał chóry Aniołów, by wieściły pokój na ziemi, raczył natchnąć Nasze słowa!

I

JAK KOŚCIÓŁ NIE MOŻE PRZYCZYNIĆ SIĘ DO ROZWIĄZANIA SPRAWY POKOJU

Na czym więc nie może polegać udział Kościoła w sprawie pokoju? Obecny stan rzeczy wymaga od Nas szczerego i otwartego osądu faktów. Doszło do tego stopnia zaostrzenia, że rozdarcie świata na dwa przeciwne sobie obozy wprost rzuca się w oczy i jak na dłoni widać ludzkość podzieloną na dwie wyraźnie odcięte od siebie grupy, z których żadna nie dozwala nikomu na postawę politycznej neutralności pomiędzy przeciwnymi stronami.

Sama przez się zrozumiała neutralność polityczna

Ci, którzy niesłusznie patrzą na Kościół jakby na jakąś ziemską potęgę lub rodzaj światowego imperium, skłonni są wymagać od niego, podobnie jak od innych, porzucenia neutralności i ostatecznego oświadczenia się na korzyść jednej czy drugiej strony. A przecież, jeśli chodzi o Kościół, nie może być mowy, aby w jakikolwiek sposób mógł porzucić swe stanowisko politycznej neutralności, a to z tej prostej przyczyny, że nie może się dać wprzęgnąć w służbę czysto politycznych interesów.

Nie należy sądzić, że to jest jedynie prostą grą słów czy pojęć. Wystarczy posiadać elementarne zrozumienie fundamentu, na jakim Kościół jako społeczność się opiera, żeby zrozumieć Naszą postawę bez obszerniejszych wyjaśnień. Boski Zbawiciel dlatego założył Kościół, by przezeń przekazywać ludzkości swoją Prawdę i swoją Łaskę aż do skończenia wieków. Kościół jest jego „ciałem mistycznym". Cały on Chrystusowy, a Chrystus Boży (cf. I Kor. 3,23).

Politycy, a czasem nawet przedstawiciele Kościoła, którzy chcieliby z Oblubienicy Chrystusa uczynić swego sprzymierzeńca i narzędzie swoich politycznych, narodowych czy międzynarodowych kombinacji, naruszyliby tym samym istotę Kościoła i przynieśliby szkodę jego właściwemu życiu. Ściągnęliby go do poziomu, na którym rozgrywają się konflikty doczesnych interesów w sobie godziwych.

Kto zatem chciałby wyrwać Kościół z jego rzekomej neutralności, albo nacisk nań wywierać w sprawie pokoju, albo też odmawiać mu prawa swobodnego określania, czy, kiedy i jak ma wkraczać w różne konflikty, ten nie ułatwiałby mu jego pokojowego działania, bo wszelka ingerencja ze strony Kościoła, nawet w sprawy polityczne, nigdy nie może być czysto polityczna, ale zawsze musi być „sub specie aeternitatis", w świetle prawa Bożego, Jego porządku, Jego wartości, Jego norm.

Nierzadko przecież zdarza się, że mocarstwa i instytucje czysto doczesne wychodzą ze stanu neutralności i zajmują pozycje — dzisiaj w jednym, a jutro w drugim obozie. Jest to gra kombinacji, którą można wytłumaczyć nieustanną zmiennością doczesnych interesów. Ale Kościół trzyma się z dala od podobnych zmiennych kombinacji. Jeżeli osądza, nie znaczy to, iż wychodzi przez to z dotychczas zachowywanej neutralności, bo Bóg nigdy nie jest neutralny wobec spraw ludzkich i wobec biegu historii i dlatego Jego Kościół również nie może być takim. Jeżeli mówi — to na mocy swego Boskiego posłannictwa, danego mu przez Stwórcę. Jeśli zabiera głos i wyrokuje o problemach dnia, to czyni to w pełni świadomości, iż mocą Ducha św. uprzedza wyrok, jaki jego Pan i Jego Głowa, Sędzia Wszechświata, na końcu wieków potwierdzi i usankcjonuje. Taką jest funkcja nadprzyrodzona, właściwa Kościołowi, w stosunku do spraw politycznych. Cóż więc ma znaczyć ów pusty frazes o neutralności, z której Kościół wyjść powinien?

Kościół nie osądza na podstawie czysto politycznych kryteriów.

Inni, przeciwnie, żądają neutralności Kościoła w interesie pokoju. Lecz i oni nie mają należytego pojęcia o miejscu, jakie Kościół zajmuje w dziejach wielkich wydarzeń światowych.

Nie może on zstępować z wysokiej nadprzyrodzonej sfery, która zgoła nie zna pojęcia politycznej neutralności w sensie, w jakim to pojęcie stosuje się do mocarstw ziemskich. Co nie wyklucza bynajmniej, owszem — pogłębia jego udział w troskach i udrękach swoich członków, podzielonych na dwa obozy, jak też i smutek, jaki wyczuwa z powodu przeciwieństwa opinii i dążeń we własnych szeregach. Kościół nie może się na to zgodzić, by miał o sprawach sądzić według kryteriów wyłącznie politycznych. Nie może wiązać interesów religii z określonymi przez czysto ziemskie cele kierunkami, nie może się wystawiać na niebezpieczeństwo uzasadnionego powątpiewania o jego religijnym charakterze. Nie może ani na chwilę zapomnieć, że jego charakter Bożego na ziemi przedstawiciela nie pozwala mu ani na moment być obojętnym w stosunku do tego, co w sprawach ludzkich jest „złym" i „dobrym". Jeśliby tego od niego żądano, winien odmówić, a wierni po obydwu stronach winni by siłą nadprzyrodzonej wiary i nadziei zrozumieć i uszanować taką jego postawę.

II

JAK KOŚCIÓŁ MOŻE I POWINIEN PRZYCZYNIĆ SIĘ DO ROZWIĄZANIA SPRAWY POKOJU

A teraz zapytajmy, na czym polega wkład, który Kościół może i powinien wnieść do sprawy pokoju. Zwłaszcza gdy się zważy, że wkład ów nie może nosić cechy wyłącznie politycznej i że Kościół normalnie nie zajmuje miejsca ani nie wykonuje swego istotnego posłannictwa tam, gdzie państwa zaprzyjaźnione lub wrogie sobie czy też neutralne ciągle ze sobą się spotykają wnosząc własne idee i własne konkretne tendencje polityczne. Jak ma zatem wyglądać udział Kościoła w owej pracy dla pokoju? Jaki tej pracy będzie tytuł prawny i jaki specyficzny charakter będzie ona posiadać?

Tytuł prawny i istota pokojowego posłannictwa Kościoła

Chcielibyście znać jej tytuł prawny? Otóż zważcie! Nigdzie chyba tego tytułu tak jasno i namacalnie nie zdołacie stwierdzić, jak przy żłóbku betlejemskim. Dziecię, które w nim spoczywa, jest przecież odwiecznym Synem Bożym, który się stał człowiekiem i który nosi imię „Princeps Pacis — Książę Pokoju". Być księciem, twórcą pokoju — oto charakter Zbawiciela i Odkupiciela całego rodzaju ludzkiego. Jego wzniosła i boska misja na tym właśnie polega, by utrwalać pokój między każdym człowiekiem a Bogiem, między ludźmi samymi i między narodami.

To jednak posłannictwo i ta wola pokoju nie rodzą się z małoduszności czy słabości, zdolnych tylko rezygnacją i cierpliwością przeciwstawić się złu i złym. Wszystko, co się zawiera w słabości Dziecięcia Betlejemskiego, jest ukrytym majestatem i wstrzymaną siłą, hamowaną jedynie miłością, by umożliwić sercu ludzkiemu zawiązanie i utrzymanie pokoju i by umocnić je do pokonania i zniwelowania tego wszystkiego, co by mogło zagrażać jego bezpieczeństwu.

Ale Boski Zbawiciel jest również niewidzialną Głową Kościoła. Stąd też Jego pokojowe posłannictwo trwa nadal i posiada swoją moc prawną w Kościele. Corocznie przy nadejściu świąt Bożego Narodzenia ożywa w Kościele głęboka świadomość tego prawa, ażeby przyczyniać się do dzieła pokoju, tego jedynego w swoim rodzaju prawa, które przewyższa wszystko, co jest stworzone, które pochodzi wprost od Boga i które jest zasadniczym elementem istoty Kościoła i jego religijnej władzy. W obecnym również roku Kościół ze czcią upada przed żłobkiem i od Bożej Dzieciny przyjmuje posłannictwo Księcia Pokoju. Stojąc blisko niego oddycha tchnieniem prawdziwego człowieczeństwa, prawdziwego w całym tego słowa znaczeniu, ponieważ jest to człowieczeństwo samego Boga, który jest jego Stwórcą, Zbawcą i Odkupicielem. Z oczyma miłośnie utkwionymi w obliczu Księcia nieskończenie kochającego pokój czuje Kościół uderzenia Jego Serca, zwiastującego miłość ogarniającą wszystkich ludzi, rozpala się żarem pokojowego posłannictwa swego Pana i zarazem swej Głowy, posłannictwa, które także jest jego posłannictwem.

Zawsze była żywa i skutecznie objawiała się w Kościele, przede wszystkim zaś w papieżach, jego widzialnych zwierzchnikach, świadomość tej pokojowej misji. Dlatego też z całą słusznością Nasz wielki poprzednik Leon XIII przypomniał narodom pokojowe wysiłki papieży, kiedy to w roku 1899, w przededniu pierwszej konferencji pokojowej, powiedział: „A tym, czym powodowali się papieże, była świadomość niesłychanie wzniosłego posłannictwa, był spontaniczny odruch ojcowstwa, które w braterskiej zgodzie jednoczy i ocala". (Przemówienie do Kolegium Kardynalskiego, 11. 4. 1899 — Leonis P.M.Acta, vol. XIX, Romae 1900, pag. 271). To samo ma zastosowanie dzisiaj, jak już wyżej powiedzieliśmy.

Kiedy natomiast Kościół i jego najwyższy Pasterz od czułej słodyczy betlejemskiej Dzieciny, słodyczy tak pokojowo i ciepło działającej na serce, przechodzą do świata, żyjącego z dala od Chrystusa, to czują się owiani prądem lodowatego powietrza. Świat ten nie mówi o niczym innym jak tylko o pokoju, ale tego pokoju nie posiada. Przywłaszcza sobie wszystkie możliwe i niemożliwe tytuły prawne, by pokój na ziemi zaprowadzić, ale nie zna i nie chce uznać owego pokojowego posłannictwa, pochodzącego bezpośrednio od Boga. Nie chce uznać owej misji pokoju, jaką ma do wypełnienia religijna władza Kościoła.

Biedni krótkowidze, których ciasne pole patrzenia nie sięga poza wyrachowane możliwości doby bieżącej, poza cyfry potencjału militarnego i ekonomicznego! Jakżeż mogą oni sobie wytworzyć choćby maleńkie pojęcie o doniosłości i znaczeniu czynnika religijnego w rozwiązaniu zagadnienia pokoju? Umysły powierzchowne, które nie potrafią ocenić w całej ich prawdzie i w całej rozpiętości znaczenia i twórczej siły chrześcijaństwa, jakżeż nie mają być pełne sceptycyzmu i lekceważenia w ocenie pokojowego wpływu Kościoła? Za to inni — oby Bóg dał, by stanowili większość — uprzytomnią sobie mniej lub więcej świadomie, że usunięcie spod kompetencji religijnej władzy Kościoła zasadniczych warunków skutecznej pracy na rzecz pokoju, sprowadzono na dzisiejszy skłócony świat nader głębokie i tragiczne położenie.

Do tego, prawie już nieznośnego stanu doprowadziło świat odpadnięcie wielu od wiary chrześcijańskiej. I można by rzec, że niejako na ową zbrodnię oddalenia się od Chrystusa Bóg odpowiedział biczem ciągłego zagrożenia pokoju i groźnego widma wojny.

A jak niezrównany jest sam tytuł prawny Kościoła do dzieła pokoju, tak również niezrównana jest wartość wkładu, jaki on wnosi.

Wzajemne stosunki pomiędzy Kościołem a państwami

Kościół nie jest społecznością polityczną, ale religijną. Fakt ten jednak bynajmniej nie przeszkadza mu utrzymywać z państwami nie tylko zewnętrznych stosunków, ale także wewnętrznych i życiowych. W rzeczy samej Kościół został założony przez Chrystusa jako społeczność widzialna i jako taka styka się z państwami na tym samym terytorium, obejmuje swą troską tych samych ludzi oraz w przeróżnych formach i pod rozmaitymi względami korzysta z tych samych dóbr i instytucji.

Do tych stosunków zewnętrznych i niejako wypływających z samej natury ludzkiego obcowania, dochodzą jeszcze inne, wewnętrzne i życiowe, które mają swój początek i swoje źródło w osobie Jezusa Chrystusa jako w Głowie Kościoła. Ponieważ Syn Boży stając się człowiekiem i to prawdziwym człowiekiem wszedł tym samym prawdziwie w nowy życiowy związek ze społecznością ludzką, wszczepił się tak w jej jedność, zawierającą w sobie równość osobową wszystkich bez wyjątku, wszedł również w różnorakie poszczególne inne społeczności, szczególnie te, które w łonie powszechnej jedności rodzaju ludzkiego są konieczne dla zabezpieczenia porządku zewnętrznego i dobrej organizacji, albo przynajmniej użyczają tym ostatnim bardziej naturalnego udoskonalenia.

Do takich społeczności w pierwszym rzędzie zaliczyć należy rodzinę, państwo i związek państw, ponieważ dobra wspólnego będącego istotnym celem każdej z nich nie można zrozumieć, ani też nie może ono zaistnieć, bez wewnętrznego ich związku z jednością rodzaju ludzkiego. Z tego też względu nierozerwalna wzajemna łączność państw jest naturalnym postulatem, jest rzeczywistością, która się sama narzuca i której państwa, chociaż niekiedy z pewnym ociąganiem się, podporządkowują się, idąc jakby za głosem samej natury, starając się nadać tej łączności jakiś stały, zewnętrzny regulamin, jakąś organizację.

Związek państw

Państwo, Związek Państw, z całą swą organizacją, — na mocy swej

(Dokończenie na str. 2)

SENTIRE CUM ECCLESIA

Oktawa modłów o zjednoczenie z Kościołem

W okresie między 18 a 25 stycznia Kościół zaleca, aby wierni modlili się o jedność i połączenie wszystkich z Kościołem Chrystusowym. Same już daty mają w sobie szczególną wymowę: 18 stycznia to święto Katedry św. Piotra a 25 stycznia to święto nawrócenia się św. Pawła.

Praktyka ta, która w swojej naturze jest tak katolicka, jest wynalazkiem niekatolickim: wyszła ona z amerykańskich i angielskich kół niekatolickich, które jednak szukały Kościoła katolickiego. W tej modlitwie skrystalizowało się głębokie pragnienie powszechności i jedności u tych, którzy tej jedności nie mają. Kościół katolicki tę praktykę przyjął i przyłączył się do modlitw dzisiaj już całego świata.

Modlitwa o zjednoczenie wszystkich sama w sobie jest na wskroś katolicka i apostolska. Ona stawia nas w obliczu faktów, które, jeżeli dojdą do naszej świadomości, muszą wstrząsnąć całym naszym jestestwem, poruszyć sumienie i zakłócić spokój. Ona uświadamia nas, że krwawi rana w Mistycznym Ciele Chrystusa. Jest to prawda, której straszny ciężar czujemy bardzo dotkliwie na sobie.

Racje zatem, które nas zmuszają do modlitwy, do pracy apostolskiej na rzecz jedności Kościoła, są bardzo wielkie i bardzo naglące.

Racją fundamentalną, dlaczego chrześcijaństwo ma być jednym, jest wola Chrystusa. Chrystus w swojej modlitwie, która przeszła do nas, jako modlitwa arcykapłańska, modlił się o jedność. Jedność to istotna cecha Kościoła, którą Chrystus wyraził w słowach, aby oni byli jedno, jako i ja i Ojciec jedno jesteśmy. Modlitwą tą Chrystus sięgnął w przyszłość i objął nią wszystkich, kiedy modlił się nie tylko za apostołów, ale i za tych wszystkich, którzy kiedykolwiek uwierzą w ich słowa.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że w dziejach ludzkości nastąpił kryzys, jaki nie ma precedensów. Dlatego może też nigdy, jak dzisiaj, zaszła potrzeba, aby przemówił Kościół głosem wszystkich zjednoczonych w nim. Ludzkość dzisiaj podświadomie zaczęła garnąć się do Kościoła, wypatrywać stamtąd jakiejś tęczy, która by ją na nowo połączyła z Bogiem.

Ludzkość dzisiejsza znalazła się w obliczu bezbożnego humanizmu, który, rzecz prosta, wyprowadza się w prostej konsekwencji z Reformacji wieku szesnastego. Odrzucenie powagi Kościoła przez Reformację musiało pociągnąć za sobą zaprzeczenie Objawienia, wejście na drogę agnostycyzmu i zaprzeczenie istnienia Boga i Jego rządów nad światem. Humanizm ateistyczny jest dzieckiem wieków.

Tragedia współczesnego człowieka, szarego człowieka, tego z ulicy, fabryki czy kopalni, który nie bierze udziału w żadnych ruchach ideologicznych, polega na tym, że będzie on musiał dać decydującą odpowiedź, kiedy stanie, a może już stanął, wobec alternatywy: humanizm ateistyczny czy Credo chrześcijańskie. Cała trudność jest w tym, że ma on mało danych do rozpoznania, gdzie i skąd płynie głos chrześcijaństwa, jeżeli ono jest tak rozdrobnione.

Rzecz podobnie się ma na misjach. Wykształcony Hindus czy Chińczyk, który jest dziedzicem wielkich cywilizacji, mało ma też danych, aby być dobrze usposobionym do Ewangelii, jeżeli ją słyszy podaną w dysonansie chóru różnych wyznań.

Kryzys współczesny ludzkości, wobec którego my dzisiaj stajemy, staje się dla nas imperatywem działania na rzecz zjednoczenia chrześcijaństwa. Nie jest to rzecz łatwa i nie możemy zakrywać przed sobą trudności, jakie się piętrzą na drodze do zjednoczenia. Jedne z nich są natury intelektualno-pojęciowej. Inne jest bowiem podejście do rozdwojenia u niekatolików, a inne u katolików. Niekatolicy widzą Kościół podzielony. Ciało Chrystusowe jest, według nich, podarte na części przez grzech człowieka. Katolicy natomiast wierzą, że jest jeden i cały Kościół, stoi on jednością daną mu przez Boga i tej jedności nie może on stracić. Podzielone jest natomiast chrześcijaństwo. Niekatolicy na zjednoczenie patrzą, jako na pracę, która ma uzdrowić nieszczęsny podział w Kościele; katolicy patrzą na zjednoczenie, jako na powrót zbłąkanych do jedności z Kościołem, Mistycznym Ciałem Chrystusa, który ma na ziemi Głowę z Boskiego ustanowienia i centrum jedności w Stolicy Apostolskiej.

Trudności są jeszcze innego rodzaju, natury konstruktywnej. Połączenie nie może dokonać się na sposób unii tworów politycznych. Dwa są zasadnicze twory, które, jako podmioty, stają wobec problemu unii. Każdy jednak z nich trzeba postawić na innej płaszczyźnie. Kościoły wschodnie, odłączone przez schizmę, zachowały doktrynę z wyjątkiem kilku dogmatów i życie sakramentalne, ciągłość apostolską. Dzielą je tyko pewne uprzedzenia, których już jest największy czas, aby się pozbyć.

Inaczej sprawa przedstawia się z protestantyzmem różnych odłamów. Tutaj są różnice nie tylko psychologiczne, ale przede wszystkim doktrynalne.

Mimo to jednak istnieje dzisiaj możliwość połączenia się większa niż kiedykolwiek indziej. Zmieniła się ogólna sytuacja, zmieniła się atmosfera. Chrześcijanie, którzy do niedawna walczyli, przestali być wrogami. W obliczu bezbożnictwa weszli na wspólną platformę walki o podstawowe zasady życia. Zostały przełamane pierwsze przeszkody, pękły chłodne lody. Zaczęliśmy się wspólnie modlić o wielką ideę, o połączenie się, o zrealizowanie odwiecznych pragnień Kościoła, aby stała się jedna owczarnia i jeden pasterz. Dlatego też modlitwa nasza w oktawie modłów jest modlitwą apostolską, ona stwarza atmosferę powrotu i pogłębia katolicką ideę i prawdę między nami i między nimi.

Połączmy nasze modlitwy z modlitwą Kościoła, który modli się o pokój i jedność słowami: Panie, Jezu Chryste, któryś powiedział do Apostołów swoich: pokój wam zostawiam, pokój mój wam daję; nie patrz na grzechy moje, ale na wiarę twojego Kościoła i racz go według Twej woli obdarzać pokojem i jednością.

Ks. M. Wojciechowski

natury i zgodnie ze społecznym charakterem człowieka, i pomimo licznych cieniów, jak to doświadczenie w ciągu historii wykazuje — są formami jedności i porządku między ludźmi, niezbędnymi do życia i walnie przyczyniającymi się do jego rozwoju. Samo ich pojęcie oznacza spokój w porządku, jest ową „tranquillitas ordinis", którą św. Augustyn określa pojęcie pokoju. Państwa w istocie swej są urządzeniem, uporządkowaniem pokoju.

Z nimi, jako czynnikami pokoju, Jezus Chrystus, Książę Pokoju — a z Nim Kościół, w którym On nadal żyje — wszedł w nowy wewnętrzny związek życiowy, wywyższając je tym samym i zatwierdzając. Na tej zasadzie i fundamencie opiera się ów szczególny wkład, który Kościół z natury swej wnosi do sprawy pokoju, o ile oczywiście jego istnienie i jego działalność mają w społeczeństwie ludzkim należne sobie miejsce.

A to wszystko nie inaczej się urzeczywistnia, jak tylko przez nieustanny, oświecający i umacniający wpływ łaski Jezusa Chrystusa na wolę obywateli i ich przywódców, by ci uznali te cele, które Stwórca wyznaczył na wszystkich polach życia ludzkiego, by do nich zmierzali, by starali się do tych celów skierowywać wysiłki poszczególnych osób i narodów, oraz praktykować sprawiedliwość i miłość społeczną tak na wewnątrz, jak i na zewnątrz swych państw.

Jeżeli ludzkość zgodnie z wolą Bożą zastosuje ów środek ratunku, jakim jest doskonały porządek chrześcijański świata, to wkrótce się przekona, że praktycznie zniknie możliwość wojny, nawet sprawiedliwej, która nie będzie miała już żadnej racji istnienia od chwili, kiedy otrzyma należną gwarancję Związek Państw, jako właściwy czynnik utrzymania pokoju.

III

KONKRETNY WKŁAD KOŚCIOŁA W ROZWIĄZYWANIU SPRAWY POKOJU

Porządek chrześcijański jako podstawa i gwarancja pokoju

Jakim sposobem może Kościół praktycznie przyczynić się do sprawy pokojowej?

Ostatnimi Naszymi słowami wskazujemy jasno na to, jak się zapatrujemy na owo zagadnienie. Jak kiedyś już, tak i dziś, w obliczu żłóbka Boskiego Księcia Pokoju, zmuszeni jesteśmy oświadczyć: świat jest jeszcze daleki od owego przez Boga w Chrystusie upragnionego porządku, który by zapewnił rzeczywisty i trwały pokój. Może ktoś na to oświadczyć, że nie warto było zakreślać szerokich linii owego porządku ani umieszczać w nim podstawowego założenia wkładu Kościoła do dzieła pokoju. Może ktoś zarzucić, że tym sposobem podnieca się tylko cynizm sceptyków i obciąża zniechęcenie przyjaciół pokoju, jeżeli się jego obronę zasadza wyłącznie w oparciu o wartości wieczne człowieka i ludzkości. Może wreszcie ktoś zaoponuje przeciw temu, że faktycznie przyznajemy słuszność tym, którzy w „zbrojnym pokoju" widzą ostatnie i definitywne słowo w sprawie pokoju — a więc w rozwiązaniu deprymującym dla sił ekonomicznych poszczególnych narodów i wyczerpującym ich nerwy.

Jeżeli wszelako chcemy spojrzeć na sedno zagadnienia, tak jak ono dziś nam się przedstawia, jeśli chcemy nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie zdać sobie sprawę z tego wkładu jaki wszyscy, a na pierwszym miejscu Kościół, mogą istotnie uczynić w tej dziedzinie, — i to również w okolicznościach niesprzyjających i na przekór wszystkim sceptykom i pesymistom, to uważamy za rzecz nieodzowną utkwić wzrok na pominiętym dziś zupełnie od bardzo wielu porządku chrześcijańskim.

Ten sposób zapatrywania przede wszystkim przekona każdego bezstronnego obserwatora, że sedno zagadnienia sprawy pokoju jest współcześnie natury duchowej, że nań się składa niedobór czy brak duchowy. Zbyt nikły jest dzisiaj na świecie zmysł prawdziwego chrystianizmu, za mało posiadamy dziś prawdziwych, doskonałych chrześcijan. I wskutek tego ludzie sami stanowią przeszkodę w przeprowadzeniu porządku zamierzonego przez Boga. Każdy z nas powinien się przekonać o tym braku duchowym, który kryje za sobą groźbę wojny. Wpajanie tego przekonania jest w pierwszym rzędzie obowiązkiem Kościoła, dzisiaj zaś stanowi ono jego pierwszy wkład do zagadnienia pokoju.

Nowoczesna broń.

Również i My — i to daleko więcej niż ktokolwiek inny — opłakujemy potworne okrucieństwo broni nowoczesnej. Opłakując je nie przestajemy modlić się, by już nigdy nią się nie posługiwano. A przecież, czyż w tym nie kryje się rodzaj materializmu praktycznego i powierzchownego sentymentalizmu, kiedy w zagadnieniu pokoju bierze się wyłącznie lub zasadniczo pod uwagę istnienie samej groźby owej broni, a lekceważy brak porządku chrześcijańskiego, który jest istotną ostoją pokoju?

Tu leży jedna z przyczyn rozbieżności i nieścisłości zdań w kwestii, czy wojna nowoczesna jest dozwolona, czy też nie. Tu również tkwi powód złudzenia, jakiemu podlegają mężowie stanu liczący się zbytnio z istnieniem lub zanikaniem owej broni. Zgroza, jaką ona budzi, traci na dalszą metę swą skuteczność, podobnie jak każda inna przyczyna strachu; a przynajmniej nie zdołałaby w danym wypadku zapobiec wybuchowi wojny, szczególniej tam, gdzie reakcje obywateli nie wywierają dostatecznego wpływu na decyzje własnego rządu.

Zagadnienie rozbrojenia.

Skądinąd rozbrojenie, tj. równoczesna i obopólna redukcja zbrojeń, którejśmy zawsze pragnęli i do którejśmy zawsze nawoływali, udzieli zbyt słabej gwarancji trwałego pokoju, jeśli jej równocześnie towarzyszyć nie będzie usunięcie tej broni, jaką stanowi nienawiść, chciwość oraz nieumiarkowana żądza prestiżu. Innymi słowy, kto zbytnio łączy sprawę pokoju ze sprawą broni materialnej, ten popełnia błąd zaprzeczania pierwszej, t.zn. duchowej stronie każdego niebezpieczeństwa wojny. Jego wzrok nie sięga poza liczby, a nadto jest z konieczności ograniczony chwilą, w której zatarg grozi wybuchem. Przyjacielem będąc pokoju zawsze za późno dąży, by go ocalić.

Kto pragnie istotnie zapobiec wojnie powinien przede wszystkim ratować narody od anemii duchowej, powinien leczyć je z nieuświadamiania sobie własnej odpowiedzialności wobec Boga i ludzi za brak porządku chrześcijańskiego, jedynie zdolnego zapewnić pokój. Do tego właśnie zmierzają dzisiejsze wysiłki Kościoła.

Porządek chrześcijański — porządkiem wolności.

Natrafia on jednak na pewną trudność wynikającą z obecnej formy warunków społecznych. Jego bowiem napomnienia i zachęty do porządku chrześcijańskiego jako zasadniczego czynnika powszechnego pokoju stanowią równocześnie bodziec do należytego pojmowania prawdziwej wolności. Porządek bowiem chrześcijański, z punktu widzenia pokojowego, jest zasadniczo porządkiem wolności. Istotą jego to złączenie się solidarne ludzi i narodów wolnych w celu postępowego zaktualizowania wszystkich odcinków życia, w myśl celów przez Boga wyznaczonych ludzkości. Jest przeto rzeczą bolesną, że dzisiaj nie ceni się, lub nawet zgoła nie posiada prawdziwej wolności. W tych warunkach współżycie ludzkie, jako założenie i wyraz porządku bojowego, jest wewnętrznie osłabione i ubezkrwione, zewnętrznie zaś jest w każdej chwili narażone na niebezpieczeństwa.

Tak np. ci, którzy na polu społecznym czy gospodarczym chcieliby wszystko przelać na społeczeństwo, nawet kierunek i zapewnienie swego honoru, albo ci, którzy dziś swego pokarmu duchowego wyczekują codziennie coraz mniej od siebie tj. od swoich własnych przekonań i swojej wiedzy — a coraz więcej jedynie od prasy, radia, kina i telewizji — jakżeż oni mogą mieć pojęcie o prawdziwej wolności, jakże zdołają ocenić ją i jej zapragnąć, jeżeli jej w życiu swym w ogóle nie posiedli?

W rzeczywistości są oni tylko zwykłymi kółkami w najrozmaitszych organizmach społecznych: nie są już ludźmi wolnymi, zdolnymi do podjęcia i do przyjęcia cząstki odpowiedzialności na odcinku spraw publicznych. Dlatego, jeśli dziś wołają: „Nigdy wojny", jakże można im zaufać? W istocie nie jest to ich głos, lecz anonimowy głos grupy społecznej, w którą są wpieceni.

Oto położenie bolesne, które krępuje również Kościół w jego wysiłkach pokojowych i w jego nawoływaniach do uświadomienia sobie prawdziwej wolności ludzkiej, bez której — według pojęcia chrześcijańskiego — obyć się nie może porządek społeczny stanowiący wyraz zorganizowanego pokoju. O ile daremne byłyby jego nawoływania skierowane do ludzi pozbawionych owej świadomości, to cóż dopiero do społeczności zredukowanej do poziomu autonomizmu.

Tak, niestety, wygląda powszechna słabość tego świata, który emfatycznie mianuje się „światem wolnym". Ludzi się lub też nie zna samego siebie: jego potęga nie opiera się na prawdziwej wolności. Jawi się nowe niebezpieczeństwo, które zagraża pokojowi i które należy ukazać w świetle chrześcijańskiego porządku społecznego. Stąd to właśnie rodzi się u niemałej liczby ludzi cieszących się powagą w tak zwanym „świecie wolnym" niechęć do Kościoła, ponieważ nie podoba im się jego nauczycielskie zwracanie uwagi na brak rzeczy, o której się mylnie mniema, że się ją posiada i niesłusznie zarzuca Kościołowi iż nie szanuje i nie poważa prawdziwej wolności.

Ale głos Kościoła znajduje jeszcze słabszy oddźwięk w obozie przeciwnym. Tu istotnie się mniema, że się jest w posiadaniu prawdziwej wolności. Życie społeczne tu już nie podlega wahaniom, usunąwszy chimeryczną podstawę autonomicznego indywidualizmu poszczególnych jednostek, ani też nie pozwala porządkowi publicznemu pozostać obojętnym wobec wartości, przedstawianych jako absolutne. Ale to wszystko jest ściśle związane i zmierza do zapewnienia bytu i rozwoju określonego zespołu.

Ostateczny więc rezultat omawianego systemu nie jest szczęśliwy i w niczym nie ułatwia działalności Kościoła, ponieważ w nim jeszcze jest zachowane prawdziwe pojęcie wolności i odpowiedzialności osobistej. I jakże by mogło być inaczej, gdy Boga nie stawia się na najwyższym miejscu, życie i działalność świata nie grawitują wokół Niego, a Bóg nie jest ich centrem. Tam społeczeństwo nie jest niczym innym, jak olbrzymią maszyną, w której porządek jest tylko pozorny, ponieważ nie jest on porządkiem ani życia, ani ducha, ani wolności, ani pokoju. Działalność zaś jego, podobnie jak w maszynie, odbywa się mechanicznie, burząc godność i wolność człowieka.

W tego rodzaju społeczeństwie wpływ Kościoła na pokój, i wzywanie do porządku prawdziwego w prawdziwej wolności znajdują się w warunkach bardzo pomyślnych. Błędnie podkreślane absolutne walory społeczne mogą wprawdzie entuzjazmować pewien typ młodzieży, na danym odcinku życia, równocześnie jednak rodzą inny typ młodzieży przedwcześnie zawiedzionej skutkiem doznanych gorzkich doświadczeń, młodzieży sceptycznej, zmęczonej i niezdolnej do interesowania się życiem publicznym i społecznym.

Pomoc Kościoła w pokojowym rozwiązaniu zatargów

Pokój — jak powiedzieliśmy — nie może być zapewniony, jeżeli Bóg nie panuje w porządku wszechświata przez Siebie ustanowionym, jeżeli nie panuje w społeczeństwie odpowiednio zorganizowanych państw, o których każde stara się u siebie o pokój między ludźmi wolnymi i o pokój w rodzinach, oraz na zewnątrz, o pokój między narodami, zagwarantowany przez Kościół na jego polu działania i przez jego posłannictwo. Takie było zawsze pragnienie ludzi wielkich i mądrych, także poza Kościołem stojących, a ostatnio nawet jeszcze w czasach Soboru Watykańskiego (Sob. Vat., Postulata Patrum, de re militari et bello Coll. Lac. t. 7 n. 9, p. 861 — 866).

W międzyczasie Kościół przyczynia się do utrzymania pokoju, zachęcając i podkreślając praktyczne zrozumienie duchowej strony zagadnienia tego zagadnienia; wierny duchowi swego Boskiego Założyciela i swej misji głoszenia miłości, stara się według swych możliwości ofiarować swoje dobre pośrednictwo, gdziekolwiek widzi, że powstaje groźba konfliktu między narodami. Stolica Apostolska nigdy się nie wycofała ani nigdy się nie wycofa z tego obowiązku.

Gdy „Kościół milczy".

Wiemy dobrze i opłakujemy sercem głęboko zasmuconym to, że Nasz głos w sprawie pokoju jest bardzo słabo słyszany na szerokich terenach świata, gdzie Kościół jest zmuszony do milczenia. Milionom ludzi nie wolno wymawiać otwarcie swej odpowiedzialności wobec Boga w sprawie pokoju. Nawet wiekowa tradycja szopki, tak ściśle złączona ze świętami Bożego Narodzenia i tak rodzinna, została we własnych ogniskach rodzinnych i kościołach zakazana despotyczną wolą władców tego świata. Miliony ludzi nie mogą wywierać swego wpływu chrześcijańskiego w sprawie wolności moralnej, w sprawie pokoju, ponieważ te słowa — wolność i pokój — uzurpują sobie jako swój monopol agitatorzy, burzyciele pokoju i zwolennicy siły fizycznej.

Mimo to, chociaż z rękoma związanymi i zamkniętymi usty, Kościół zmuszony w tych krajach do milczenia odpowiada wspaniale na Nasze wezwanie. Wskazuje on spojrzeniem na świeże jeszcze groby swych męczenników, na więzy swych wyznawców, w nadziei, że ich milcząca ofiara i ich cierpienia najwydatniej przyczynią się do sprawy pokoju, ponieważ są najgłośniejszym wołaniem i najpotężniejszym tytułem do otrzymania od Boskiego Księcia Pokoju łaski i miłosierdzia w wypełnianiu swej misji. Da pacem Domine, in diebus nostris! Użycz nam, Panie, pokoju w czasach obecnych!

PIUS XII PAPIEŻ

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

„A O SPRAWIEDLIWOŚĆ BIJ SIĘ AŻ DO ŚMIERCI"*)

6.

Z drugą wojną światową nastał najtrudniejszy okres życia Adama Stefana Sapiehy i najbardziej pewno i historyczny i legendarny. Mamy wszyscy okres ten w świeżej pamięci: znowu stawał on za cały naród uciśniony w warunkach niepomiernie trudniejszych niż czasu 1-szej wojny. Próba nowego KBK, nowego komitetu opiekuńczego, została przez Niemców w zalążku zduszona. Pozostała i tu tylko skuteczna działalność podziemna i jawna, bohaterska obrona imienia polskiego oraz ochrona ludności przed krzywdą, uciskiem i zbrodnią okupanta. Oddaję głos świadkowi krajowemu, X. Piwowarczykowi: „Jego imię było wtedy na ustach wszystkich. Do Niego zwracały się wszystkie umysły i z Jego stanowiska wobec okupanta uczyliśmy się wszyscy. On był ucieczką i nadzieją dla wątpiących lub nieszczęśliwych. Rozdzielał pomoc materialną między potrzebujących, utwierdzał upadających na duchu, wiele godzin dnia poświęcał na pocieszanie zbolałych, protestował u okupanta — który go nie śmiał tknąć! wypraszał życie dla skazanych i równocześnie wysoko dzierżył honor wolnego, choć ujarzmionego narodu".

I znów to samo: ze swego Krakowa bronił całego narodu na całej rozciągłości państwa, mimo jego domniemanego zniknięcia i kasaty. „Z tą samą energią — ciągnie dalej X. Piwowarczyk — i wytrwałością bronił praw całego Kościoła w Polsce wobec centralnych władz okupacyjnych w Krakowie. Podania i protesty pisane i żywym słowem przekładane, gromadzenie biskupów polskich na narady, listy pasterskie uczące obowiązku w czasie wojny, odezwy do wiernych o pomoc wzajemną, nabożeństwa i wizytacje parafii, odprawiane mimo szykan ze strony okupanta — oto świadectwo „z terenu" o niezmordowanej walce metropolity z okupantem.

Ale zostaje mi tu do powiedzenia rzecz może najważniejsza o najszczytniejszej roli, jaką przyszło teraz, w czasie drugiej wojny światowej, metropolicie krakowskiemu odegrać: wypadło mu oto swoją osobą zastąpić niejako narodowi — Kościół.

Zdarzyło się bowiem tak, że kardynała w kraju zabrakło: kardynał Hlond był z Polski wyjechał sądząc, że prymasowi trzeba być z rządem i w Rzymie — żałował potem tego kroku. Naród, wdzięczny metropolicie Sapieże, że w kraju pozostał, przywiązał się do niego na śmierć i życie. Polska od Watykanu była jakby odcięta. Mimo rzadkich odezwań się Ojca św. — niejeden w kraju dawał ucho podszeptom rozpaczy i zwątpienia w Rzym. Książę biskup i tu nieustraszony, wszystkich trzymał w ryzach ufności i posłuchu choć jemu samemu się serce o Polskę krwawiło. Niezmiernie ostrożny X. Piwowarczyk powiada, co następuje, w tylekroć już przez nas cytowanym artykule: „Nie będzie żadną przesadą powiedzieć, że jeśli Kościół zachował spójnię, było to w dużej mierze zasługą sp. kardynała Sapiehy". Bardzo to ważkie zdanie, do którego nic nie chcę dodawać.

Zaprawdę, któż więcej niż metropolita krakowski zasłużył w r. 1946 na purpurę kardynalską za swe zasługi już nie tylko wobec narodu, ale i wobec Kościoła?

7.

To niewiele życia, jakie pozostało dostojnemu i wciąż niezłomnemu starcowi, upłynąć miało w ciągłym wewnętrznym postępie na drodze chrześcijańskiego i kapłańskiego pogłębiania się. Wewnętrzną świętością podtrzymywał kardynał do samego końca swoją wyciągniętą ku krzywdzie ludzkiej dłoń opiekuńczą. Wiadomo wszystkim, jak z łoża ostatniej swej choroby przeszkodził jeszcze grożącej Krakowowi wywózce czy zsyłce... Ponoć do chwili obecnej nie powrócił reżym warszawski do tej złowrogiej myśli.

Te trudne, kluczowe, kryzysowe decyzje wymagały jakiegoś źródła mocy. Tego źródła nie znamy, bo nam go kardynał nie wyjawił. Jest to właściwie zagadnienie najważniejsze, jego tajemnica.

...Czasem tryskało z niego jakieś powiedzenie, idące z samej głębi, zawsze proste, najprostsze, ale w jego ustach i tonie, jakim było wypowiedziane, rewelatorskie. Zajrzałem, teraz właśnie, do notatek z moich rozmów z kardynałem w lutym 1946 r. Był już bardzo stary, małomówny. Ale właśnie te nieliczne słowa były dziwnie ważkie. Powiedział mi więc kiedyś — o kimś ze współczesnych — „najważniejsze jest to, by zawsze wiedzieć, co się ma robić". Niby to takie proste... Znaczy to, że czyn u kardynała poprzedzany był rozumieniem tego, co się ma robić. Byle wiedzieć — czyn może być błyskawiczny.

I dopełnił tego powiedzenia innym, wstrząsającym słowem, nie w logicznym związku z poprzednim, w innym momencie rozmowy: — „Okupacja niemiecka była taka jasna, niezmiernie jasna: dziś wszystko takie niejasne, trudne, mgliste..."

Była to prawie **skarga**, dziwnie poruszająca w ustach tego starca, którego — wyraźnie — najcięższe przeżycie życiowe zjawiło się, kiedy nie widział jasnej, pewnej drogi przed sobą.

Sądzę, że w imię wierności pamięci X. metropolity Sapiehy — należało by te nasze rozważania zakończyć próbą zrozumienia tego, co było wewnętrzną sprężyną, tajemniczą i ukrytą dla świata, jego mocy duchowej. Jego ostatnie dziesięciolecie naznaczone było rosnącą w oczach ciszą, skupieniem i jakby bliskością Boga. Bardzo w tym skryty, nie znający powiernika, ledwo ślady samego życia wewnętrznego zostawił w pamięci ludzkiej. Krążyły o tym, już za jego życia, niejasne wersje. Jego asceza rosła tym rzadsza, że nie usuwająca się od życia społecznego, gdzie go trzymało poczucie obowiązku i odpowiedzialności.

Tak się to wszystko ma, jakby istniało w tym okresie u kardynała jakieś wewnętrzne krążenie pełne tajemnicy — między wysiłkiem własnego umartwienia a łaską świętości. Sięga to zresztą korzenia wstecz — daleko. Nie znam okoliczności jego powołania i kapłańskiej decyzji: tradycję wielkiego uduchowienia i świątobliwości reprezentowała w rodzinie — matka, Sanguszkówna z rodu. Nikt nie obliczy, ile znaczyć może dla syna wpływ matki. Uderza też wybór godła wybrany w r. 1910 przy przyjmowaniu sakry biskupiej: „Crux mihi foederis arcus". Krzyżowi swemu pozostał wierny. Krzyż narodu wziął na swoje piersi i serce. Dowiadujemy się, że w tajemnicy i ukryciu lubił — po staropolsku — krzyżem leżeć w czasie intymnej, skupionej modlitwy. „Raz w czasie ostatniej wojny, słyszymy, jeden z kleryków otwierając późną nocą kaplicę arcybiskupią omal nie potknął się o leżącego krzyżem na posadzce w ciemnościach kardynała". Wiemy jeszcze i to, że „w r. 1940 parę tygodni spędził w rozmyślaniach nad Księgą Joba, którą cytował całymi ustępami", właśnie u zarania wojny, po straszliwej klęsce. Są to zaledwie ślady wewnętrznych przejść, które każą się nam zamyśleć nad głębokimi źródłami jego rycerskiej mocy i woli. Nie wolno zaiste redukować tego żywota do jego świeckiej postaci, choćby najdostojniejszej w swym ideale narodowym i społecznym. W tym swoim leżeniu krzyżem, fizycznym czy duchowym, szukał kardynał tego, c o m a r o b i ć, tego co nazywał jasnością drogi...

Aczkolwiek nie rządził państwem i nie reprezentował Polski na soborach, trzeba go nam umieścić w historycznym ciągu między największymi, gdzieś obok Oleśnickiego i Hozjusza. Ale nie należy wykluczyć, że on właśnie, w swej prostocie wewnętrznej i zewnętrznym ubóstwie — postąpił najbliżej ku świętości...

Tak jak zacząłem, chciałbym skończyć wezwaniem czy inwokacją Piusa X. Znajdujemy się tu na wyżynach duchowych, o których właśnie wypada mówić w roku beatyfikacji.

Otóż z Krakowa przychodzi do nas świadectwo głęboko poruszające o ostatniej chorobie kardynała. Jak mówiliśmy wyżej, marzył o przyjeździe do Rzymu, na uroczystości beatyfikacyjne. Choroba mu w tym przeszkodziła. W początkach czerwca było już źle. W sam dzień beatyfikacji był na pół przytomny, na pół przytomny w Krakowie. Ta połprzytomność dawała właśnie świadectwo jego wieczności głębszej niż sama świadomość. „Na pół przytomny — cytuję — wydawał rozkazy i polecenia, j a k b y b y ł u c z e s t n i k i e m b e a t y f i k a c j i". Nazajutrz na wiele tygodni do przytomności powrócił.

Zaprawdę wierności Piusowi X dochował kardynał do końca. Sądzę, że bez większej lekkomyślności można przypuścić, iż po przekroczeniu progów wieczności spotkał się — na płaszczyźnie świętych obcowania — z wzajemną wiecznością swego Mistrza w duchowym życiu, błog. Piusa X.

Mimo całej żałoby, jaka okryła naród osierocony, stwierdzimy, że śmierć ta jest pełna światła: więcej w tym zgonie jest życia niż śmierci.

Władysław Folkierski

*) Część pierwsza artykułu prof. W. Folkierskiego ukazała się w numerze 1/1952 „Życia", część druga w nr. 2/1952. W numerze obecnym drukujemy zakończenie artykułu.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Ataki na Księdza Prymasa. W związku z wywiadem Ks. Prymasa w sprawie Ziem Zachodnich prasa reżymowa, której nie dogodzi żadna wypowiedź Episkopatu czy duchownych nie zaprzedanych reżymowi, rozpoczęła nowe ataki na Papieża i Episkopat Polski. Pisze się np. w „Trybunie Ludu", że „Episkopat osłabia jedność narodu propagując sztuczny podział na wierzących i niewierzących". „Życie Warszawy" zaś głosi, że obowiązkiem Polaka jest szerzenie prawdy o Watykanie, a za tę prawdę uważa, że polityka Watykanu była i jest wroga interesom narodu polskiego. Pismo atakuje przeto Prymasa, że nie służy polskiej racji stanu, ponieważ nie występuje przeciw Papieżowi.

Że o Papieżu i o stolicy Apostolskiej tak pisze prasa komunistyczna, temu dziwić się nie można. Ale trzeba się dziwić, że komunistycznej prasie sekundują raz po raz głosy w emigracyjnej prasie polskiej i w rozmowach Polaków między sobą. Temu nie tylko dziwić się trzeba, ale i potępić trzeba takie postępowanie. Warto przy tym przypomnieć, że o Opokę Piotrową rozbiły się już niejedne ataki i „kto by upadł na ten kamień, będzie rozbity, a na kogo by upadł, zmiażdży go".

Religijność w Sowietach. Ks. Leopold Braun, który spędził 12 lat w Moskwie jako kapelan ambasady amerykańskiej i jedyny kapłan w sowieckiej stolicy, opisał swoje wrażenia i zeznania w tygodniku „This Week".

Ks. Braun opowiada, że po pięcioletniej antyreligijnej kampanii bolszewicy zarządzili w r. 1937 nowy spis ludności, w którym załączono pytanie: „Jesteś czy nie jesteś wierzący?" Na miesiąc przed tym spisem ogłoszono nową sowiecką konstytucję, w której zamieszczono paragraf o „wolności wyznania". Wynik spisu był olbrzymią niespodzianką dla Kremla. Ponad 70 procent ludności stwierdziło, że wierzy w Boga. Wyniki tego spisu nie zostały nigdy ogłoszone, a politbiuro zarządziło nowy spis w roku 1939, w którym „dla uproszczenia" opuszczono pytanie o wierze w Boga.

Podczas inwazji hitlerowskiej ludność manifestowała entuzjastycznie z powodu otwarcia kościołów i cerkwi. Natychmiast dało się zauważyć żywiołowe odrodzenie religii. Po roku 1945 bolszewicy oficjalnie zachowali fikcję „wolności wyznania", jednak spotęgowali walkę z religią na wszystkich odcinkach życia.

„Fakt istnienia, po tylu latach opresji, wiary w Rosji — mówi ks. Braun — daje uzasadnioną nadzieję, że narody amerykański i rosyjski mogą żyć wspólnie w pokoju i braterstwie, skoro tylko obalona zostanie bezbożna tyrania Kremla."

Chrzest księcia japońskiego. Japoński książę krwi, Asaka, został ochrzczony wraz z synem i córką. Żona księcia Asaki i jego najmłodsza córka są chrześcijankami od roku.

Odznaczenie papieskie prezydenta Peru. Ojciec święty nadał prezydentowi Peru, generałowi Odria, wielki krzyż orderu Piusa IX, a żonie jego krzyż Pro Ecclesia et Pontifice. Wielki krzyż orderu Piusa IX jest nadawany za wielkie zasługi położone dla Kościoła.

Nowe szkoły katolickie w Egipcie. Stowarzyszenie katolickie szkół egipskich wybudowało ostatnio 12 nowych szkół w odległych miejscowościach górnego i dolnego Egiptu. Przy szkołach są kaplice.

Kolegium katolickie w Pakistanie. W Dacca zostało otwarte pierwsze i jedyne kolegium katolickie we wschodnim Pakistanie. Większość studentów jest wyznania mahometańskiego. Kolegium posiada duży ogród, co umożliwi rozbudowanie w przyszłości kolegium.

Wobec otwarcia nowego parlamentu. 1 i 2 grudnia w Kantonie genewskim odbyły się wybory do stanowego ciała ustawodawczego. Gdy wybrani składali 15 grudnia przysięgę, równocześnie odprawiana była w kościele Matki Boskiej w Genewie uroczysta Msza św. o Duchu Świętym na intencję kantonu genewskiego i jego legislatury. Wikariusz generalny, ks. Petit, wygłosił okolicznościowe kazanie.

Katolicka encyklopedia. Ukazał się siódmy tom katolickiej encyklopedii włoskiej, doprowadzony do litery Mapp. Wydawnictwo encyklopedii katolickiej jest wydarzeniem wielkiej wagi, bo w ten sposób katolicy włoscy i inni znający język włoski będą mogli spojrzeć na wszystkie objawy życia współczesnego w świetle prawdziwej nauki, która nie może być niezgodna z prawdziwą wiarą. Warto przypomnieć, że istnieje w języku niemieckim katolicka encyklopedia Herdera, niestety prawie nieznana w Polsce. Polacy posługiwali się protestanckimi encyklopediami Brockhausa i Meyera i dlatego wśród katolików polskich jest tyle protestanckich uprzedzeń do Kościoła katolickiego, do jego nauki, do jego postępowania w ciągu dziejów, uprzedzeń do instytucji Papiestwa i do Papieży.

MARIA WINOWSKA

RELIGIA I KULTURA

Nazbyt często w dzisiejszym świecie przeciwstawia się religię kulturze. W środowiskach wrogich chrześcijaństwu bardzo zręcznie szermuje się sloganem o „zaświatowości“ religii, którą żadną miarą nie da się pogodzić z rzetelnym humanizmem. Chrześcijanie mówią — tak bardzo zapatrzeni są w wieczność, że zapominają żyć w czasie. Tak wysoko cenią wartości wieczne, że za nic sobie mają „rzeczy znikome“. Ubogim mówią, że winni się cieszyć ze swego ubóstwa, bo przecież „ich jest królestwo niebieskie“, rany społeczne zalepiają plastrem ośmiu Błogosławieństw nie dbając o to, jak je opatrzyć i uleczyć. Tak bardzo myślą o Bogu, że zapominają o człowieku.

Każdy z nas zetknął się z podobnymi zarzutami, od których roi się czerwona prasa. Ale może nie każdy umiał na nie odpowiedzieć. Bo przecież rację mają ci, którzy twierdzą, że stawiamy nade wszystko wartości wieczne, że kazanie na Górze błogosławieństw więcej dla nas znaczy niż wszystkie wynalazki techniki i wszystkie mądrości świata. A więc?

Odpowiedź jest prosta. Wrogowie chrześcijaństwa nie w tym błądzą na ogół, co twierdzą, ale w tym, co przemilczają. Nie dlatego, że szukają prawdy, ale dlatego, że uzurpują sobie prawo do stanowienia o prawdzie. Heretyk to taki sobie pyszałek, który przebiera w pełnym całokształcie prawdy i **wybiera** to tylko, co mu odpowiada. Taki jest właśnie grecki sens słowa „heretyk“: ktoś kto „wybiera“. Mam na przykład taki temperament, że absolutnie mi nie odpowiada nauka Kościoła o uczynkach. Przecież o wiele wygodniej myśleć, że do zbawienia wystarczy wiara i łaska? Luter mówi: „Grzesz ile wiezie, byleś wierzył jeszcze mocniej, pójdziesz prosciutko do nieba“. I na to, by go lepiej zrozumiano, sam dawał przykład. Czyż Luter błądził w tym, iż twierdził, że bez łaski nie można się zbawić? Oczywiście nie! Ale błądził mówiąc, że do zbawienia potrzebna jest TYLKO łaska, bez uczynków. Przyciął do swojego użytku naukę Kościoła wybierając, co mu dogadzało.

Luter był Lutrem i napisano o nim dużo książek, ale któż zliczy mniej sławnych heretyków, którzy krążą dziś po świecie? Przyjdzie taki pan i oświadczy: „Nie uznaję stanowczo nauki Kościoła o małżeństwie, resztę — tak, ale tego nie“. Spróbuj go przekonać! Łatwiej się dogadasz z pirenejskim mułem. Ale wybadaj zainteresowania tego pana. Przekonasz się, że Kościół istotnie swoim prawem małżeńskim mu przeszkadza, że jest np. kandydatem na bigamistę i próbował zdobyć rozwód. Więc odrzuca naukę Kościoła nie dlatego, jakoby wykrył, że jest sprzeczna z prawdą, ale dlatego, że mu bruździ w jego planach życiowych.

Jakżeż wielu jest dziś chrześcijan, którzy zamiast służyć Prawdzie, wysługują się Prawdą i wybierają z niej to tylko, co im dogadza i odpowiada. Iluż jest wśród nas nieświadomych heretyków?

Podobnie sprawa się ma z owym pozornym antagonizmem między czasem i wiecznością, między religią i kulturą, między teologią i humanizmem. Przeciwnicy nasi nie mają racji twierdząc, **że tym samym** lekceważymy wartości doczesne. Jest to prostu sylogizm źle skonstruowany, coś w rodzaju takiego: oto pan Nowacki jest ssakiem, małpa jest ssakiem, wobec tego pan Nowacki jest małpą. Kto trochę zna się na logice, zaraz wykryje, gdzie tkwi błąd!

Prawda jest inna, pełniejsza, bez porównania bogatsza, lecz i trudniejsza. Chrześcijanin dlatego właśnie ceni wszystko, co doczesne, że stawia ponad wszystko walory wieczne. Co więcej: to jest właśnie cecha, która go wyróżnia wśród innych religii, które nie znają twórczego napięcia między czasem i wiecznością.

A więc chrześcijanin ceni czas dlatego, że ceni wieczność. Czym wytłumaczyć ten pozorny paradoks?

Paradoksem, jakim jest Chrystus. Bóg-człowiek. Zadomowiony w wieczności, narodzony w czasie. Ten, który niebo z ziemią zaślubił i przez fakt Wcielenia uświęcił nieskończenie wszystkie bez wyjątku ludzkie sprawy, całą ziemię, cały wszechświat wciągnął w krąg służby Bożej, która jest zarazem służbą ludzkości. Od pokłonu pasterzy w stajence betlejemskiej, od nawiedzin Mędrców ze Wschodu i pierwszych kontaktów Bożego Dzieciątka z otaczającym je światem, wszystko, co ludzkie, nabrało nieskończonego znaczenia, gdyż stało się niejako sakramentem tającym w tym maleństwie Bożą rzeczywistość. Nie masz odtąd drogi do Boga, tylko przez ludzkie, bijące Serce Chrystusowe. Wartości wiekuiste znalazły w materii znak sakramentalny. Bóg daje się człowiekowi przez wodę i chrzyzmo, przez wino i chleb — i każdy kłos na łanie może pretendować do honoru żertwy ofiarnej na naszych ołtarzach. A więc nic co ludzkie nie może nam być obce ani obojętne, bo wszystko co ludzkie — okrom grzechu — przywdział Bóg.

Co więcej, nie ma innej drogi do Boga jak poprzez czas — i poprzez człowieka. Każda chwila bezpowrotna zapada w wieczność śladem nie startym, jest dlatego taka ważna, że ładowna wiecznością. Każda chwila stanowi o naszej wieczności. Takiego poczucia odpowiedzialności za odcinek czasu, każdemu z nas zawierzony, nie ma poza chrześcijaństwem żadna religia. I dlatego właśnie narody chrześcijańskie rzuciły w dzieje drożdże rozmachu i postępu. Malutka Europa poprzez wieki przewodziła ziemi, przez dwa tysiące lat dokonała o wiele więcej niż zaspane Chiny lub gardzące czasem Indie poprzez tysiąclecia. Wrogowie chrześcijaństwa zapominają, że żyją z rent skradzionych chrześcijaństwu i że prawdy, jakie głoszą, to wielokrotnie chrześcijańskie „zwariowane“ prawdy, odczepione od prawowitego pnia i rozbiegane luzem. Ci, którzy bronią kultury, humanizmu przeciw nam, nie zdają sobie sprawy, że wybijają drzwi, od dwu tysięcy lat otwarte.

Idziemy do Boga poprzez człowieka: na Sądzie ostatecznym Chrystus nie zapyta nas, ile odmówiliśmy różańców (choć, wiadomo, jest to najśliczniejsza modlitwa, zaś modlitwa to korzeń, bez którego **nie ma** żniwa uczynków), ale zapyta nas, ile razy nakarmiliśmy Go, przyodzialiśmy Go, odwiedziliśmy Go w szpitalu, ilekroć był głodnym, nagim, chorym. Czyli, że bliźni to jakby „kawałeczek Chrystusa“ jak powiedziała ślicznie jedna mała dziewczynka, nie odbiegając zbytnio od prawdy, jako że istotnie Chrystus „Cały“, w Ciele Mistycznym, to nie tylko Głowa, lecz i wszystkie członki.

A więc, w chrześcijańskiej perspektywie, służąc człowiekowi służymy Bogu. Czyż kultura w najgłębszym tego słowa znaczeniu nie jest również **formą** służby? Czyż artysta, uczony, technik, wynalazca nie służą ludzkości? Ale tylko artysta chrześcijanin, uczony chrześcijanin, technik czy wynalazca chrześcijanin może sobie powiedzieć, że praca jego jest również „służbą Bożą“. Postawmy sobie pytanie: czy taka myśl hamuje, czy też zwiększa rozmach pracy? Im wznioślejszy cel, tym chętniej, łatwiej zdobywamy się na czyn ofiarny. Górnik, który bezmyślnie wyrąbuje szychtę myśląc tylko o dniówce, normie i górnik, który modli się kilofem z pełną świadomością **komu** służy, czynią na pozór to samo, ale jakżeż inny jest smak ich pracy, jej godność i sens! Pierwszy to niewolnik pieniądza, a więc materii. Drugi to Boży współpracownik, w służbie ludzkości. Czyż Chrystus nie był wpośród nas „jak ten, który służy“? Czyż myjąc nogi uczniom nie przykazał im, aby czynili sobie nawzajem, jako i On? I czyż każda praca, bez wyjątku, nie może stać się „służbą Bożą“, czyż o jej celowości nie decyduje intencja, z jaką ją pełnimy?

Mówi się dziś tyle o wyzwoleniu klas pracujących, ale ideał wyzwolenia ogranicza się nazbyt często do planu ekonomicznego, tak jak gdyby sfera ducha była podporządkowana ekonomii i kształtowała się w zależności od niej. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie: duch rządzi ekonomią, nie ekonomia duchem. A jeśli nie rządzi nią duch dobry, będzie nią rządzić duch zły. Trzeba więc dążyć najpierw do duchowego wyzwolenia, do wolności ducha, bo wtedy tylko stać nas będzie na kształtowanie życia ekonomicznego, kultury i myśli na zasadach sprawiedliwości i miłości. Fakt, że chrześcijanin zaczyna od fundamentu, nie oznacza wcale, jakoby zapominał o dachu. Religia jest dla niego Bożym fundamentem: i dlatego właśnie stać go na budowanie ludzkiej kultury, której czas nie zmiecie, że poprzez Chrystusa wszystko to, co ludzkie, ma w nim korzenie Boże.

Maria Winowska

PO ŁEPKACH

SKARABEUSZ

Symbolem pracowitości była w Polsce mrówka. Dlatego, że nie znano tam żuka egipskiego, zwanego skarabeuszem. Tenże żuk pracuje zawsze z takim zapałem i bez wytchnienia, jakby pracę zaczął dopiero co. Do wielu ludzkich przyjemności należy patrzenie na cudzą pracę. Można tedy godzinami bawić się trudem skarabeusza. Pracuje on w piasku pustynnym. Ziarnka pod dotknięciem twardych łapek żuka zsuwają się jak obciążone koła młyńskie. Na przebycie maleńkiej odległości potrzeba mu godzin. Na każdym kroku grożą żuczym łapkom przepaście, urwiska, wilcze doły, otchłanie. Zsunąwszy się z wielometrowej ściany, żuk nic sobie nie robi z przypadku i z miejsca zaczyna drogę powrotną. Kiedy znajdzie ziarenko czy źdźbło, toczy je w okamgnieniu przed sobą — ku jakimś dalekim, jemu tylko wiadomym celom. Krząta się, trudzi, zabiega nawet po zachodzie słońca — jakby w tym ruchu nieustannym zamknięty był cały sens życia.

Zdaje się, że to ten sam żuk uznawany był przez starożytnych Egipcjan za świętego owada, śmieszą nas dziś te owadzie, ptasie i zwierzęce świętości starych ludów. Śmiejemy się z kultu sów, ibisów i byków. Jakże można w sowie widzieć bóstwo?

A jednak nie takie to śmieszne. Bowiem w sowie, ibisie i skarabeuszu naprawdę można dostrzec rękę Boską. Wszak to twory Boże. Wszelkie stworzenie jest celowe: nie tylko to, które człowiekowi przynosi dotykalną korzyść. Wiele zwierząt zostało wyposażonych przez Stwórcę w takie właściwości, które mogą pobudzić ludzkie myśli, wstrząsać ludzkim sumieniem, naprowadzać duszę ku sprawom wiecznym. Świat jest czytanką otwartą Boską ręką przed ludźmi.

Oto właśnie taki skarabeusz! Czyż jego trud bezustanny nie przypomina doli ludzkiej? Życie ludzkie powierzchownie podobne jest do krzątaniny pustynnych żuków. Dzień po dniu człowiek toczy przed sobą ziarenko pokarmu, rusza przed siebie, potyka się, obsuwa, powraca do przerwanej pracy i nieustannie wykonuje ruchy te same, czynności te same, zabiegi te same. Natura jego jest tak słaba i krucha, że po kilkunastu godzinach czuwania oczy kleją się do snu, co kilka godzin ciało domaga się pokarmu i odpoczynku, mizerne są granice wytrzymałości cielesnej.

A przecież człowiek ciągle się zrywa na nogi, ciągle ku czemuś bieży, nieustannie się trudzi i śpieszy. Ta sama krucha ludzka istota zdolna jest wznieść piramidy i katedry, przebijać góry, łączyć morza, nawadniać pustynie, ujarzmiać żywioły, wyrywać się ku gwiazdom.

Ten sam człowiek, który brodzi w wiecznych ciemnościach, posiadający garstkę wiadomości o świecie, nie znający nawet własnego ciała, zamiast pokarmem wiedzy karmiący się baśnią, głupstwem i przesądem, ten sam człowiek zdolny jest ustalać prawa natury, przewidywać obroty gwiazd i wstrząsy ziemi.

Wszystko to posiada człowiek z Łaski Boskiej, z Jego miłości. To Jego ręka podtrzymuje nas przy każdym kroku. Jego Łaska pozwala co rano odnajdywać radość i ochotę do życia i siły do pracy. Trwać w nędzy, cierpieniu i niewoli. Zmarnowane trudy, bezcelowe wysiłki, nieudane zabiegi, dolegliwości, cierpienia, choroby tracą swą moc obezwładniającą człowieka — pod dotknięciem Łaski. Sam człowiek nie miałby siły a zwłaszcza ochoty do życia, gdyby nie ta ciągła pomoc niewidzialna.

Słyszy się często zdanie: czyż marna jednostka ludzka może się liczyć w porządku świata, a cóż dopiero wieczności? Pomyślcie: rząd liczb jest nieskończony. Czyż jednak w miliardach trylionów albo i nawet w nieskończoności liczb jednostka nic nie znaczy? Znaczy oczywiście. Bez niej, bez tej mizernej jednostki, nie do pomyślenia byłby rząd liczb. Jednostka jest warunkiem miliardów a nawet nieskończoności. Dlatego u Ojca w niebiesiech liczy się nie tylko każdy człowiek, ale i każdy skarabeusz.

J. B.

PRZYJACIEL POLAKÓW

O. Prowincjał Zakonu św. Franciszka, Kapucynów, zamieścił ogłoszenie, zachęcające do wstępowania do tego Zakonu.

Zakon O.O. Franciszkanów położył szczególnie wielkie zasługi dla Kościoła i Polski. On to w swoim czasie wybitnie przyczynił się do nawrócenia Litwy i szerzenia Unii Kościelnej na Litwie i Rusi.

Podczas ostatniej barbarzyńskiej napaści Niemiec na Polskę O.O. Franciszkanie przyczynili dziejom Zakonu wiele chlubnych kart wspaniałymi aktami miłosierdzia i bohaterstwem poświęcenia.

Znana jest obecna działalność tego Zakonu w Kraju, po wypędzeniu Niemców wydawnictwa Niepokalanowa docierały do najdalszych zakątków kraju.

Nie jest naszym zadaniem wyliczanie w krótkiej notatce chwalebnych dokonań i zasług Zakonu. Liczne z nich są znane szerszym warstwom ogółu w Kraju i na emigracji.

Ludzie o żywych sercach winni zasilać szeregi niestrudzonych sług Kościoła i Ojczyzny.

Nadmieniamy, iż obecny Prowincjał O.O. Kapucynów w Anglii, O. Dunstan, był podczas ostatniej wojny kapelanem Polskiej Marynarki Wojennej. W swoim czasie odprawił on ostatnią Mszę św. na ORP. Dragon.

Okazał on Polakom wiele serca i życzliwości i jest wypróbowanym przyjacielem Polski.

Nie przestaje opiekować się Polakami i obecnie.

WACŁAW GRUBIŃSKI — *NIEWINNE NIEDYSKRECJE (5)*

„W KLUBIE“ U MIKI *)

V. BEŁCIKOWSKI

Bełcikowski, o którym tu wspomnę, nie wiem czy był spokrewniony z Adamem Bełcikowskim, autorem dramatów historycznych, z rzadka wystawianych na scenie krakowskiej. Pisywał artykuły i różnego typu utwory literackie, ambitne, ale niezbyt dokładnie, jak mi się zdawało, przemyślane, zawsze szlachetnie ideologiczne, przez pół patriotyczne, przez drugie pół mistyczne. Jeden krótki dramat Bełcikowskiego nazywał się „Epipsychidion“, ale może się mylę. Tytułów innych prac Bełcikowskiego nie pamiętam.

Był to młody człowiek, wysoki, mocno zbudowany, przystojny, pochodził z kresów. Ze wszystkiego, co mówił, wynikało niezbicie, że najwyższy czas ruszyć z posad bryłę świata.

Do Miki zachodził nie często. Częściej odwiedzał redakcje warszawskie, gdzie dość rzadko mu się udawało zamieścić jakiś gorący a niesprecyzowany wywód na temat moralnego marazmu współczesnej ludzkości. Nosił się z zamiarem założenia pisma, gotów był je prowadzić osobiście, nikt jednak nie chciał dać na to pieniędzy.

Pewnego wieczora u Miki powiedział nam Reymont, że Bełcikowski odziedziczył spadek.

— Z pewnością założy pismo — uśmiechnął się Słoński.

Ktoś zapytał, czy spadek jest duży.

Spory — odparł Reymont — ale, według Bełcikowskiego, za mały na prowadzenie takiego pisma, jakie on sobie wyobraża.

— Rozmyślił się! — zawołał ktoś z uciechą.

— Przeciwnie — rzekł Reymont. — Postanowił powiększyć kapitał zakładowy i pismo będzie wydawał.

— Weźmie wspólnika, czy zaciągnie pożyczkę?

Może zrobić coś trzeciego rzekł Fiszer. — Ale na to trzeba inteligencji.

— Cóż może?

— Czekać na drugi spadek przejadając pierwszy!

Wówczas Reymont potrząsnąwszy swoją pseudolwią czupryną:

— On ma inny sposób. Rozmawiałem z Lorentowiczem. Bełcikowski był u niego w „Nowej Gazecie“ i zaproponował mu wspólny wyjazd do Francji. Chce poznać Paryż, Wiedeń, Berlin, Budapeszt. Wszystkie koszta podróży ponosi Bełcikowski i jeszcze jakąś kwotę daje Lorentowi do dyspozycji.

— Co na to Lorentowicz? — zapytał ciekawie Pytliński.

Byłby głupi, gdyby się nie zgodził — zdecydował Słoński.

— W ten sposób — wtrącił cicho profesor Wermiński — w ten sposób nie podwoi spadku.

Ale Reymont wyjaśnił:

— Z Budapesztu pojadą do Monte Carlo. Bełcikowski ma niezawodny system gry na ruletce.

Kilku klubmenów parsknęło śmiechem, padły dowcipy. Kiedy rechotanie straciło na natężeniu, pewien mały człowieczek, okrąglutki jak piłka, łysiuteńki jak dynia, tak krótkonogi, że z krzesła ledwo sięgał podeszwami posadzki, uniósł nad stolikiem dwa pulchne paluszki, uśmiechnął się i przemówił:

— Wbhew pozohom, phoszę panów, sposób nie jest pozbawiony sensu.

Był to Andrzej Zarzycki, artysta-malarz, portrecista. Jak większość malarzy posiadał dar opowiadania.

— Co hok jeżdżę do Monte Cahlo i wyghywam. Nie wyghywam dużo, ponieważ mało stawiam, ale przyjdzie czas, że będę stawiał więcej, a wtedy nikt mi nie wytłumaczy, że hozbicie banku musi przekhaczać moje skhomne możliwości.

Profesor Wermiński wycedził falsetem nieśmiałe zastrzeżenie. — Rzekł:

— Historia ruletki dowodzi, że wszystkie niezawodne systemy gry zawodzą.

— Thudno mi się z tym zgodzić, zareplikował Zarzycki, po czym oświadczył sentencjonalnie:

— Niezawodne systemy zawodzą tylko w tym wypadku, gdy się ich trzyma niewolniczo.

— Jak?

— Nie-wol-niczo! Należy, phoszę panów, wiedzieć, kiedy odstąpić od systemu.

— Bagatela!

— Phoszę panów, to brzmi jak pahadoks; w gruncie rzeczy jest phoste! Bahdzo phoste! Więcej niż phoste: zwyczajne, zwykłe, powszednie, ludzkie! Zagadnienie się sprowadza do intuicji. Trzeba mieć intuicję!

Rzeczywiście! — potwierdził Fiszer. — Proste i ludzkie!

* * *

Poprzedniego roku w najściślejszej tajemnicy kilku literatów postanowiło dojść do pieniędzy przy pomocy rulety, o czym, oczywiście, zaraz w tajemnicy było wiadomo u Miki.

Pomysł wyszedł ze środowiska „Chimery“. Czterej wybitni pisarze, wierzący w absolut, Przesmycki, Lemański, Berent i Wyrzykowski, zawiązali konspiracyjną spółkę; drogą cichych pożyczek zgromadzili sumę około tysiąca rubli i na zasadzie własnego systemu gry w ruletkę, systemu wypróbowywanego miesiącami w domu państwa Przesmyckich, wydelegowali bajkopisarza Lemańskiego po fortunę.

Odprowadzony na Dworzec Warszawsko-Wiedeński przez przyjaciół, delegat zajął skromny kącik w wagonie drugiej klasy i pełen wiary w złotodajną przyszłość ruszył na południe.

W ciągu pierwszego tygodnia „system trzech“ zdawał egzamin przykładnie. Co dzień z Monte Carlo przychodziła depesza o pomyślnych wynikach działalności delegata. Wobec potwierdzającej się praktycznie nieomylności systemu, pewnego przedwieczerza, po naradzie przy czarnej kawie zatelegrafowano Lemańskiemu, aby grał odważniej.

Któregoś wieczora przyszła z Monte Carlo depesza, że „kapitał zakładowy został upięciokrotniony“. Lemański zapytywał: „Grać czy wracać?“.

Oddepeszowano: „Pijemy chambertina na rzecz dalszych tryumfów“.

Nazajutrz przyszedł telegram, donoszący o dalszym niewielkim sukcesie. Oddepeszowano: „Korzystać z passy!“.

Po dwudziestu czterech godzinach Lemański meldował: „Niezrozumiały odpływ połowy kapitału (stop) Może wracać?“

Oddepeszowano: „Zalecamy dobę odpoczynku (stop) Następnego dnia proponujemy nieomylny atak w zgodzie z systemem czterech“.

W dwa dni później depesza głosiła: „Odzyskane z nadwyżką“. Odtelegrafowano: „Continuez!“

W ciągu następnych kilku dni codzienna wygrana wahała się od stu franków do pięciu tysięcy. Zadepeszowano: „Obok chwalebnej ostrożności stosować ataki zuchwałe!“

Specjalnie szybką depeszą Lemański donosił: „30.000! (stop) Wracać?“ Odpowiedziano wspaniale jednym słowem: „Mało!“

Minęła doba, po czym przyszedł najdłuższy z dotychczasowych telegramów: „Klęska (stop) Hotel nie zapłacony (stop) Nie mam na powrót“.

Zdołano pożyczyć 250 rubli i wysłano je telegraficznie z zaleceniem nowego startu z największą ostrożnością małymi stawkami.

System ponownie zdał egzamin, bowiem w ciągu trzech dni delegat „Chimery“ wygrał 1.400 franków. „Podwoić stawki (stop) W razie dobrej passy potroić!“ brzmiało zalecenie.

Następne trzy dni podniosły wygraną o cztery tysiące franków. Ale czwartego dnia przyszła depesza o pogromie. Brzmiało to jednak osobliwie. Delegat kablował: „Przegrałem (stop) Samopoczucie świetne! (stop) Niecierpliwie oczekiwany przekaz pieniężny (stop) Śniłem Vercingetoryxa na kolumnie Zygmunta“.

Wysłano pięćset rubli. Działo się to w środę. W czwartek ruleta wchłonęła tę pięćsetkę, w niedzielę Lemański wrócił do Warszawy. Był przekonany, że passa by się zmieniła na korzyść „Chimery“, gdyby miał na nieprzerywanie gry jeszcze tysiąc franków.

* * *

Tak wyglądała próba rozbicia banku w kasynie Monte Carlo przez czterech pisarzy warszawskich z najświetniejszego miesięcznika literackiego, jakiśmy kiedykolwiek posiadali. Albo raczej tak wyglądała ta próba w klubowych szeptach u Miki. Nigdy nie poruszałem tego tematu z Lemańskim w obawie, że go mogę zażenować lub zasmucić. Z Przesmyckim łączyły mnie stosunki dalekie od zażyłości. Berenta widywałem rzadko, Wyrzykowskiego jeszcze rzadziej.

* * *

A Bełcikowski rzeczywiście odbył podróż po stolicach Europy w towarzystwie Lorentowicza. W Monte Carlo tak się Bełcikowskiemu powiodło jak przed rokiem Lemańskiemu.

Znów chodził po Warszawie nie mając grosza w kieszeni. Spotkawszy kiedyś na ulicy Kaliksta Eustachego Czekalskiego, którego czasami widywał u Miki, przystanął i rzekł:

— Niech mi pan pożyczy trzy ruble.

— Nie mam - odpowiedział Czekalski.

Po czym każdy poszedł w swoją stronę.

Po kilku dniach na tej samej ulicy spotkał Czekalskiego i znów mu zaproponował trzyrublową pożyczkę. Czekalski znów odpowiedział, że nie ma, co było szczerą prawdą. Oburzony Bełcikowski wykrzyknął ze złością:

— A z czego pan, u diabła, żyjesz?! — Popatrzył na Czekalskiego z góry i odszedł z obrzydzeniem.

Mieszkał w hotelu Saskim. Nie płacił. Mijały tygodnie, ba! miesiące! Ponieważ listowne upomnienia nie pomagały, pewnego razu odwiedził Bełcikowskiego plenipotent budynku.

Bełcikowski oświadczył, że nie ma pieniędzy, że tedy nie zapłaci i że z tego samego powodu nie zamierza się wyprowadzić. Zniecierpliwiony naleganiem plenipotenta, wykrzyknął:

— Niech mnie pan nie nudzi!

Plenipotent potarł czoło i, pełen zafrasowania, powiedział:

— Dług panu rozłożę na raty. Niech się pan jednak zaraz wyprowadzi.

— Przecież pan słyszy, że nie mam pieniędzy!

— Pokój pan musi zwolnić natychmiast!

— I dokąd pójdę? Na chodnik?!

Nie moja to rzecz, proszę pana. Zajmuje pan pokój, który powinien przynosić dochody.

— No to co?

— Jak to, co? Rozumie pan chyba, że hotel jest przedsiębiorstwem.

— Dlatego właśnie mam prawo nie płacić!

— Że jest przedsiębiorstwem?

— Przedsiębiorstwo musi się prowadzić na zasadzie przedsiębiorstwa czyli ryzyka! Na jednych lokatorach pan zarabia, na innych pan traci. Mnie pan będzie zapisywał na straty i wszystko w porządku!

Plenipotenta, jak to się mówi, zatkało. Poczęstował Bełcikowskiego papierosem i rozbawiony siadł na otomanie. W końcu doszło do gentlemen's agreement, na którego podstawie plenipotent umarza Bełcikowskiemu zaległe komorne, pozwala mu zajmować pokój przez dalsze dwa miesiące, po czym jednak pokój zostanie opuszczony.

Bełcikowski się zgodził i umowy dotrzymał.

* * *

Po pierwszej wojnie światowej nie widywałem go latami. Niezmiernie rzadko zdarzało mi się zauważyć tu i tam jego artykuł. Słyszałem, że się ożenił.

Pewnego lata zacząłem go spotykać na kolejce mokotowskiej. Jeździliśmy razem do Skolimowa.

Bardzo się zmienił. Stracił fantazję. Wyraźnie mu się nie powodziło. Nie wiem, czy przeżył drugą wojnę światową.

Wacław Grubiński

*) Poprzednie felietony z cyklu „W klubie u Miki“ ukazały się: I. Fischer-Daniłowski, nr. 46 (1951), II. Antoni Lange, nr. 47 (1951), III. Żeromski-Srokowski, nr. 49 (1951), IV. Leśmian-Niemojewski, 50 (1951).

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 20 stycznia 1952 r.

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

POLSKI UNIWERSYTET NA OBCZYŹNIE

Dnia 3 stycznia b.r. w sali Samopomocy Lotniczej w Londynie odbyła się inauguracja pierwszego roku akademickiego nowopowstałego Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie. Obecni byli liczni przedstawiciele nauki, wykładowcy oraz studenci. Na wydział humanistyczny, obejmujący na razie polonistykę i historię wraz z przedmiotami pomocniczymi, zapisanych jest około 40 kandydatów.

Uroczystość inauguracyjna odbyła się bardzo skromnie. Krótkie przemówienia wygłosili dziekan wydziału humanistycznego, prof. T. Sulimirski oraz rektor uczelni, prof. T. Brzeski. Następnie gen. Marian Kukiel wygłosił odczyt p.t. „Wielkość i upadek Rzeczypospolitej". Była to zwięzła, lecz głęboka synteza dziejów Polski, ukazanie głównych fundamentów jej wzrostu i najważniejszych przyczyn upadku.

Polska niosła narodom rękojmię wolności i to zadecydowało bardziej o jej wzroście, niż czyny zbrojne. Swobody obywatelskie, szeroki samorząd, równość w obrębie stanu szlacheckiego i tolerancja religijna przyciągały ludy ku Polsce daleko mocniej, niż kultura umysłowa. Rzeczpospolita tworzyła wielką wspólnotę ludów, która stała nie mądrością królów, nie zwycięskimi wojnami, lecz wolnościami i przywilejami oraz skłonnością do dzielenia się nimi z tymi, którzy pragnęli się dobrowolnie przyłączyć. Polskość stała się udziałem wszystkich ludzi wolnych, bez wysiłków wynarodawiania i szczególnej polityki kulturalnej. W zetknięciu z Polską mi wszyscy cudzoziemcy polonizują się nawet po rozbiorach. Wówczas decydowała o tym już nie wolność polska, lecz miłość wolności i przywiązanie do niej życia.

Ale w ustroju Rzeczypospolitej w charakterze Polaków kryły się też liczne słabości. Ustrój folwarczno-pańszczyźniany nie był w Polsce wyjątkowy, lecz zeszedł się tu z pewnymi szczególnymi. Wiele by można przytoczyć przyczyn upadku Polski. Oprócz ustroju folwarczno-pańszczyźnianego, przykucia chłopów do ziemi, pozbawienia sołectw i wyjęcia włościan spod prawa — ograniczenie mieszczan, zaprzepaszczenie sprawy ukraińskiej, trudności skarbowe, skąpstwo szlachty wobec obrony ojczyzny przy nieustannych wojnach, wzrost mocarstw sąsiednich. W wiekach XVII i XVIII lata pokoju należą w Polsce do wyjątkowych. Przez Rzeczpospolitą przelewają się nieustannie obce wojska. Równocześnie upada tradycyjny polski duch wojskowy. Słynna kiedyś jazda polska jest w czasach saskich pośmiewiskiem obcych. Ofiarni, lecz zupełnie niebitni są też woluntariusze barscy.

Czasy saskie są okresem katastrofalnego załamania się psychicznego i biologicznego Polaków. Kiedy jednak przychodzą ciemne lata upadku, nad Polską błyszczą znowu światła duchowego odrodzenia. Słusznie powiedziano, że skoro Rzeczpospolita musiała upaść, to dobrze, iż stało się to po Konstytucji 3 Maja i powstaniu kościuszkowskim. Polska weszła w mrok niewoli odrodzona.

Odczyt gen. Kukiela niewątpliwie ukaże się w druku. Będzie to jedna z najwybitniejszych pozycji naszej współczesnej historiografii na wolności.

„ŻYCIE TEATRU"

Nowy Rok 1952 przyniosł trzy nowe periodyki polskie w Londynie: dwumiesięcznik „Życie Teatru", miesięcznik polityczno-dyskusyjny „Zaczyn" oraz biuletyn w języku angielskim p.t. „Free Poland Bulletin".

„Życie Teatru" jest wydawnictwem Związku Zawodowego Artystów Scen Polskich Zagranicą. Wydawcy zapewne nie liczą na zbytni sukces w prenumeracie, skoro nie podali w pierwszym swym zeszycie ani adresu redakcji ani warunków przedpłaty. Przyszłość pisma oparta jest · jak się można domyślać z pierwszego zeszytu — na licznych ogłoszeniach handlowych oraz na sprzedaży pisma wraz z programami poszczególnych przedstawień.

Ten typ periodyków teatralnych posiada starą tradycję a „Życie Teatru" powstaje jako kontynuacja czasopisma „Teatr i Widownia", wydawanego przez pewien czas przez ZASP w Londynie.

Pierwszy zeszyt „Życia Teatru" otwiera patetyczny artykuł Zygmunta Nowakowskiego p.t. „Słowo i czyn".

„Pragniemy, — pisze Z. N. — by po emigracyjnym teatrze polskim został ślad i dlatego ZASP uruchamia pismo, które zawierające programy bieżących przedstawień, ilustracje sceny i widowni, — wiedzy o teatrze polskim i obcym oraz informacjom o roli teatrów wewnętrznych na uchodźtwie, o potrzebach sceny i widowni, o naszych aspiracjach, o nowych pomysłach w reżyserii, słowem — wedle możności — wszystkiem, co wchodzi w zakres teatru. Zarówno treść jak i szata pisma sprawią, że historia wysiłków polskiego aktorstwa na emigracji nie zostanie zapomniana, lecz utrwali się i będzie szekspirowskim zwierciadłem, w którym kiedyś, kiedyś, przyszłe pokolenia ujrzą obraz naszego życia i naszej, skazanej na długą pielgrzymkę, ale ambitnej, sztuki dramatycznej".

„Pragniemy przeciwstawić się tej fałszywej, bruźmierczej interpretacji dzieł dawnego repertuaru (W Kraju przyp. red.) i równocześnie pragniemy pomóc twórczości młodszej, która w kraju musiała przyjąć upodlające jarzmo. Gdy teatrów emigracyjnych nie stać na zagranie sztuk, wymagających wielkiej sceny i wielkiej obsady, posługujemy się „teatrem czytanym". W Kraju twórczość polska i twórczość zachodnia spychana jest na plan jak najdalszy, ustępując miejsca szablonowej tandecie sowieckiej, propagandowych, obcych duszy polskiej. Tu powinniśmy grać przede wszystkim sztuki polskie, choć obowiązkiem scen emigracyjnych jest także utrzymać kontakt z literaturą zachodu Europy. Pismo, którego pierwszy numer dzisiaj otwieram, informować będzie o życiu teatralnym Paryża, Londynu, Rzymu, New-Yorku i innych centrów sztuki dramatycznej".

Jak widać, zamiary redaktorów są raczej nieprzeciętnie ambitne. Wierzymy, że następne zeszyty spełnią chociaż częściowe zapowiedzi. Zeszyt pierwszy „Życia Teatru" poprzestaje na treści skromniejszej.

Po artykule Z. Nowakowskiego idą kolejno artykuły: S. Jaracza „Praca aktora" (fragment referatu z r. 1936), Z. Broncia „Tysiąc przedstawień na scenie emigracyjnej", A. Bogusławskiego „Rozmowa z jubilatem Wacławem Grubińskim", T. Nowakowskiego „Obyczaje Przełęckiego", J. Ostrowskiego „Teatr Sztuk Czytanych", dra M. Giergielewicza „W oczach obcych— Prof. Nicoll o polskim dramacie", Alceste „Teatr pod gołym niebem — O francuskich festiwalach", A. Ciołkosza „Dwie kreacje Otella na scenach londyńskich" oraz kronika.

Wymienione artykuły dzielą się na trzy kategorie: statystyczno-sprawozdawczo - propagandowe (Broncel, Ostrowski), informacyjne i problemowe. A. Ciołkosza rzecz o dwu kreacjach Otella jest jedynym artykułem w pierwszym zeszycie, który schodzi w głąb problematyki współczesnego teatru. Autor, wychowanek uczelń brytyjskich, wykazuje dużą kulturę teatralną i subtelność spojrzenia bez nieznośnych ekskiamacji naszych teatrologów. Traktuje teatr poprostu jako sztukę, a nie jako latarnię czarnoksięską czy wyrocznię delficką.

„Rozmowa z W. Grubińskim" jest raczej notatką autobiograficzną znakomitego dramaturga, któremu „dwa procesy, aby jego twórczość sparaliżować, wytoczyła Rosja carska i bolszewicka". T. Nowakowskiego rozważania p.t. „Obyczaje Przełęckiego" są zabawą w zgadywane, co by było, gdyby postać sceniczna żyła naprawdę, jakie by były jej losy, gdyby dramat trwał o 20 minut dłużej lub co by się stało, gdyby Goplana była Grabcem. Nie są to w każdym razie problemy krytyki teatralnej.

Miłośnicy teatru powinni poprzeć starannie wydane „Życie Teatru", kupując za 1 szylinga odrazu pierwszy zeszyt, aby móc się z recenzji A. Ciołkosza dowiedzieć, o co chodzi w teatrze.

„PRZEGLĄD WYDAWNICZO-KSIĘGARSKI"

Niepokoi nas 3 nr. „organu Zrzeszenia Wydawców i Księgarzy Polskich w W. Brytanii". Wydrukowano w nim dwa artykuły: bardzo ciekawe uwagi mgr. M. Danilewiczowej p.t. „Z notatnika bibliotekarza" oraz p. T. Rybotyckiego artykuł dyskusyjny p.t. „Walka o dobrą książkę". O ten artykuł nam właśnie chodzi.

W obszernych wywodach autor podkreśla szczególnie stronę wychowawczą książki na emigracji. Woła o podręczniki historii, geografii, hist. literatury, a zwłaszcza o elementarz. Woła o dzieła „pożyteczne nie tylko pod względem naukowym i literackim, ale również moralnym, wychowawczym i narodowym".

Wszystko jest w tym artykule słuszne. Brak w nim tylko choćby najdrobniejszej wzmianki o katechizmie, o podręcznikach do nauki religii i w ogóle o literaturze religijnej. Moralność, pedagogika i narodowość, to wszystko są bardzo piękne pojęcia — pod warunkiem, że początek swój biorą z religii. Kto tego nie rozumie, ten ani się spostrzeże, gdzie się podzieją i moralność i nauka i patriotyzm. O tym powinni wiedzieć szczególnie „wydawcy i księgarze polscy".

RUCH WYDAWNICZY NA EMIGRACJI

KALENDARZ „LUDU" NA ROK 1952. Suplemento do Jornal „Lud". Curitiba — Paraná. Stron 168, ilustracje. Dołączony kalendarz ścienny.

Życiorysy polskich kandydatów na ołtarze, treść historyczna, literacka i religijna.

Ludwik Lawiński IGRASZKI BOLSZEWICKIE. Stron 40. Okładka ilustr. S. Mikula. Bez miejsca i daty (Londyn 1951).

Zbiór dowcipów spod okupacji sowieckiej.

FREE POLAND BULLETIN. No. 1. December 1951. Stron 32, szesnastka. Bez wydawcy (organ informacyjny Rządu R.P. w języku angielskim).

KSIĄŻKI I CZASOPISMA OBCE

„ROZMOWY Z HITLEREM". Nakładem Athenäum Verlag w Bonn ukazała się niezwykła książka pt. „Hitlers Tischgespräche im Führerhauptquartier, 1941—1942". Wydana została ona z ramienia Niemieckiego Instytutu Badania Historii Okresu Narodowo-Socjalistycznego (Deutsches Institut für Geschichte der nationalsozialistischen Zeit), a zredagował ją i poprzedził wstępem Gerhard Ritter, b. profesor uniwersytetu fryburskiego.

Jako autor książki występuje jednak dr Henry Picker. Z polecenia Martina Bormanna, jednego z najfanatyczniejszych wielbicieli „Führera", zainstalowano w kwaterze głównej specjalnego stenografa, który wiernie notował wszystkie wypowiedzi Hitlera podczas posiłków (stąd nazwa: „Tischgespräche" — rozmowy przy stole). Funkcje te w okresie od 11 marca do 2 sierpnia 1942 r. spełniał właśnie Picker, który kontynuował bardziej skąpe zapiski swego poprzednika, czynnego już od lipca 1941 r.

Powstała w ten sposób rzecz jedyna w swoim rodzaju, która rzuca jaskrawe światło na psychikę wodza Trzeciej Rzeszy. Uzyskany obraz jest jeszcze potworniejszy, niż można było przypuszczać. Hitler ukazuje się jako patologiczny maniak, w którym okrutna, krwawa mistyka łączyła się w dziwny sposób z darem praktycznych urzeczywistnień, — darem, który zresztą w momentach rozstrzygających wojny zawiódł go zupełnie.

O sprawach polskich niewiele jest mowy w tych sprawozdaniach stenograficznych. Zanotowane jest m.in. polecenie, wydane przez Hitlera „Gauleiterowi" Forsterowi, by w ciągu lat dziesięciu całkowicie zniemczył „Gau Westpreussen", czyli polskie Pomorze.

ZGON H. D. PEPLERA. W wieku lat 73 zmarł w Ditchling w Sussex jeden z najwybitniejszych angielskich pisarzy i działaczy katolickich Hilaire D. C. Pepler. Pepler, podobnie jak jego najbliższy przyjaciel i współpracownik Reginald Jebb, należał do grona gorących wyznawców i wielbicieli G. K. Chestertona i H. Belloca oraz stworzonego przez nich prądu ideowego.

Działalność Peplera była bardzo wielostronna. Na spółkę z wybitnym rzeźbiarzem i grafikiem E. Gillem założył w Ditchling rodzaj spółdzielni wydawniczo-drukarskiej, gdzie drukowano książki na ręcznej prasie i na ręcznie czerpanym papierze. W tejże samej miejscowości zorganizował teatr marionetek i wziął z nim udział w międzynarodowym festiwalu marionetek w Liege w r. 1930.

Działalność pisarska Peplera obejmowała poezje, dramaty (m.in. o Piłacie i św. Dominiku), utwory satyryczne, książki o charakterze publicystyczno-ideowym i niezliczone artykuły w prasie.

Po zgonie Chestertona Jebb i Pepler kontynuowali redagowany przez niego tygodnik „G. K.'s Weekly" jako „Weekly Review". Pismo to szczególnie w czasie drugiej wojny światowej gorąco występowało w obronie praw Polski, jej niepodległości i całości. Po wojnie upadło z braku funduszów. Jebb i Pepler dwukrotnie później próbowali je wskrzesić pod inną nazwą (najpierw „The Register", później zaś „Weekly Register"), ale niezmiernie trudne warunki wydawnicze próby te po krótkim czasie udaremniły.

Pepler był jedną z najpiękniejszych postaci brytyjskiej społeczności katolickiej i żyć będzie we wdzięcznej pamięci także Polaków.

ZGON WYBITNEGO HISTORYKA. W wieku lat 67 zmarł w Montpellier wybitny francuski historyk Kościoła Augustin Fliche. Ogłosił on m.in. dużą pracę o reformach gregoriańskich, dzieło o chrześcijaństwie średniowiecznym, a od lat kilkunastu redagował wielką zbiorową „Historię Kościoła", której ukazało się dotąd 14 tomów.

WŁOCHY W CZASIE WOJNY. Pojawiają się coraz to nowe przyczynki do dziejów Włoch w okresie drugiej wojny światowej aż po ogłoszenie Republiki Włoskiej w czerwcu 1946 r. Już pięć lat temu, w r. 1947, ukazała się książka „Tutte le strade conducono a Roma" („Wszystkie drogi wiodą do Rzymu"), którą napisał jeden z przywódców antyfaszystowskich Leo Valiani. Inny członek organizacji antyfaszystowskiej „Giustizia e Libertà", Massimo Salvadori ogłosił obecnie książkę „Resistenza ed Azione" (Bari, Laterza, cena 1400 lir). Zawiera ona szereg ostrych zarzutów pod adresem polityki brytyjskiej i amerykańskiej, że nie popierały dostatecznie ruchu przeciwfaszystowskiego. Obie książki mają oczywiście charakter jednostronny i wymagają skonfrontowania z innymi źródłami.

BRYTYJSKI RUCH WYDAWNICZY W R. 1951. Z artykułu sprawozdawczego, jaki ogłosił „Times Literary Supplement", wynika, że mimo wszystkich trudności brytyjski ruch wydawniczy nie tylko nie osłabł w r. 1951, ale jeszcze wzmógł się, jeśli chodzi o ilość wydrukowanych pozycji. W roku tym ukazało się mianowicie 18.066 nowych książek i nowych wydań. Cyfra ta stanowi rekord w dziejach ruchu wydawniczego w Wielkiej Brytanii; jest ona o prawie 1000 pozycji wyższa niż cyfra za r. 1950 i przewyższa o 900 pozycji poprzedni rekord z r. 1937.

W produkcji książkowej W. Brytania nadal bezwzględnie góruje nad Stanami Zjednoczonymi z ich 10.000 książkami, choć ludność jej stanowi zaledwie jedną trzecią zaludnienia Stanów.

Rekord osiągnęły także obroty brytyjskich firm wydawniczych, które w r. 1951 doszły do 40 milionów funtów, tj. sumy czterokrotnie wyższej od ostatnich obrotów przedwojennych. Jedna trzecia część produkcji wydawniczej idzie za granicę i odsetek ten rośnie ustawicznie, podczas gdy wywóz książek ze Stanów Zjednoczonych z powodu wysokich cen i trudności walutowych spada. Na pierwszym miejscu importu książek brytyjskich stoi Australia, a na drugim Stany Zjednoczone, i to niezależnie od tego, że dzieła pisarzy angielskich ukazują się w osobnych wydaniach amerykańskich.

NOWE FILMY

DZIEWIĄTKA Z RÓŻNYCH PARAFII

Wypada na pierwszym miejscu omówić film „When No Vultures Fly" choćby dlatego, że był on wybrany na t.zw. Royal Performance, to znaczy pokazany królowi i rodzinie królewskiej. Jest to zeszyta grubymi nićmi przez Harry Watta i przez niego samego wyreżyserowana, a wykonana przez Ealing Studios historia powstania rezerwatu dla dzikich zwierząt we Wschodniej Afryce, niezbyt daleko od szczytu Kilimandżaro. Film ten — kolorowy, lecz dość nierówny w kolorze — jest ciekawy (zwłaszcza dla dzieci i młodzieży) przez swą egzotykę, ale ze sztuką filmową nic nie ma wspólnego.

Nawet ubogiego wątku fabularnego — walki „idealisty" A. Steela o życie i dobrobyt słoni, żyraf, lwów i gazel wszelkiego autoramentu — nie potrafiono stopić w jedną, ciekawą całość z żywiołowym życiem właściwych bohaterów filmu — dzikich zwierząt. Tak choćby szarża olbrzymiego nosorożca na samochód handlarza kością słoniową Harolda Warrenedera usuwa w cień ludzi i ich sprawy, polegające głównie na wyjazdach i przyjazdach samochodami do miejsc, gdzie pojawienie się sępów oznacza nowego trupa jakiegoś przedstawiciela bogatej afrykańskiej fauny, zamordowanego przez niedobrych Murzynów i jeszcze gorszych Białych. W zestawieniu z wielkimi cielskami słoni i słonin" (czemu by nie — zamiast „słonica"?), z ruchliwymi wężami, skorpionami i z całą menażerią najrozmaitszych stworów bożych ludzie wychodzą blado i mało interesująco. Stosunkowo najlepiej prezentuje się młody chłopak William Simons, który gra rolę syna twórcy parku narodowego: wiadomo, że dzieci i zwierzęta (zwłaszcza młode) mają wspólne mianowniki, by wspomnieć tylko żywiołowość i naturalny pęd do zabawy. Matka sympatycznego dzieciaka jest Dinah Sheridan, a rolę łapacza zwierząt dla cyrku zagrał M. Edwards.

Jak się rzekło, film jest ciekawy, jako odsłonięcie kawałka widzialnego świata, którego nie zastąpi nigdy posępne więzienie zwierząt — ZOO. Ale i na tym koniec. Gdyby do rzeczy wziął się prawdziwy artysta, a nie rzemieślnik (choćby tak dobry jak Watt), mógłby na tle arcyciekawych zdjęć dokumentarnych stworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Niestety scenarzysta reżyser poszedł po linii najmniejszego oporu: potraktował ludzi jako pretekst do pokazania zwierząt. Dla filmu dokumentarnego byłoby dosyć — dla fabularnego fałszywe założenie, bo człowiek, tworząc dla ludzi, człowieka musi przyjąć za miernik i punkt wyjścia (co innego, gdyby film kręciły żyrafy ze swego żyrafiego stanowiska).

Tak czy owak, film warto zobaczyć, bo nie każdy ma możność pojechać na „safari" do Afryki i przeżyć je tak, jak je p. Jan Siemiński chodzi o to, by w jednym z tygodników filmowych.

*

„Encore" jest trzecim z rzędu długometrażowym filmem znanego nowelisty Somerseta Maughama, „wyprodukowanym", jak i poprzednie („Quartet", „Trio"), przez Antoniego Darnborough. Choć krytyka angielska stara się przedstawić te kulturalne robótki jako oryginalne i własne (to jest ...) filmy, Maugham ... w tym ... przeważnie ... nie ... w nich ... i swoje ... reżyserów.

Tym razem, w filmie „Encore", trzech reżyserów (Harold French, Pat Jackson i Anthony Pelissier) i wielu świetnych aktorów (wśród nich Glynis Johns, Nigel Patrick, Kay Walsh, Roland Culver i Ronald Squire) ... bardzo zabawne i jedną melodramatyczną historyjkę świetnego i błyskotliwego, choć powierzchownego specjalisty od opowiadań, Maughama. W pierwszej pt „The Ant and the Grasshopper" widzimy wesołego wydrwigrosza, naciągającego na różne sposoby swego sumiennego i nudnego brata. W drugiej — „Winter Cruise" — koncert gry daje wścibska stara panna (Kay Walsh), udająca się w podróż wypoczynkową statkiem i zanudzająca pasażerów, a potem załogę, której kapitana ucharakteryzowano na Conrada. W trzeciej wreszcie, zatytułowanej „Gigolo and Gigolette" pokazano parę artystów akrobatów i fragment ich życia oscylującego na wąskiej krawędzi między miłością i śmiercią.

Żadna z tych miniaturek nie wstrząśnie widzem i na pewno nie o to chodziło autorowi i realizatorom filmowym. Są to wszystko utwory rozrywkowe w najlepszym zresztą gatunku, bardzo kulturalne i „bez cudów" podane przy użyciu artystycznych niemal środków filmowych. Ostatni obrazek, choć z pozoru ociera się o krytykę współczesnego ustroju społecznego i jego urządzeń, nie wyszedł poza zakres dreszczowca, łechcącego pięty publiczności pokazywaniem karkołomnych skoków drżącej ze strachu akrobatki do małego basenu z płytką wodą, na której powierzchni zapalono warstwę benzyny.

*

Pismo święte Starego Testamentu jest niewyczerpanym źródłem spraw boskich i ludzkich. Historie ludzkie tam opisane nie zawsze są moralne, jak nie zawsze moralnym jest człowiek zrodzony w grzechu. Dla producentów filmowych Biblia ma jeszcze tę zaletę, że choć zawsze jest „best-sellerem", nie tylko nie podlega prawu autorskiemu, ale ponadto nie potrzebuje być mierzona łokciem osławionego „kodeksu moralnego", a raczej obyczajowego, który — obowiązując wytwórnie w Hollywood — nie pozwala na przykład pod żadnym pozorem, aby najuczciwiej poślubieni małżonkowie sypiali na ekranie w jednym łóżku; pozwala jednak (i chyba zaleca) najobrzydliwszą propagandę brutalności i gwałtu, nie mówiąc już o ciągłym, lubieżnym łechtaniu naskórka ludzkiej i półludzkiej wrażliwości.

„David and Bathsheba" jest jednym z filmów biblijnych, nie pozbawionym wad, ale posiadającym również bardzo poważne zalety. Opisane w Księdze Samuela życie króla Dawida scenarzysta Dunne i reżyser Harry King pokazali prawie wyłącznie pod kątem miłości do rudowłosej Betsaby, początkowo żony królewskiego oficera Uriasza, a po jego zręcznie zaaranżowanej śmierci—małżonki samego króla. Gdy z świadomością tego zniekształcenia ogląda widz „Dawida i Betsabę", może wybaczyć realizatorom poważne skróty historyczne i odchylenia stąd płynące a nawet znajdzie w filmie nie mało poezji, jakiej na próżno by szukać w pompatycznych kolubrynach Cecil de Mille'a. Zaletami filmu są: daleko posunięta prostota, umiejętne wyzyskanie celnie dobranych szczegółów i skromnych, ale wymownych sekwencji (przeważnie lirycznych) oraz zręczne użycie środków typowo filmowych (wspaniała wizja dźwiękowa bitwy) w celu wyrażenia treści psychicznych, charakteryzujących bohatera.

Wielką wadą tego dzieła jest niewyrównana i niezespołowa gra aktorska. Podczas, gdy znakomity i świetnie rozwijający się aktorsko odtwórca roli tytułowej Gregory Peck stworzył piękną, miejscami wzruszającą kreację (wstrząsająca scena modlitwy-psalmu przy Arce Przymierza) — reszta zespołu, z Susan Hayward (Betsaba) włącznie, nie stanęła na wysokości zadania. Szkoda też, że film zakończono bezsensowną sekwencją pseudo-religijną, polegającą na włożeniu w usta tłumu Izraelitów chóralnego psalmu, śpiewanego w zborach protestanckich naszych czasów, ale z pewnością nieznanego w tym stylu w czasach króla Dawida. Kolor dobry, miejscami wyśmienity. k

*

„Detective Story" nie jest bynajmniej dreszczowcem w zwykłym słowa tego znaczeniu, ani filmem-zagadką, zmuszającą widza do szukania sprawcy zbrodni. Wbrew tytułowi nie jest to historia detektywna, lecz opowieść o detektywie i jego dość skomplikowanym życiu wewnętrznym.

Oto komisariat policji w Nowym Jorku. Zwykły dzień pracy: przyprowadzają mniejszych i większych przestępców, a detektywi — szorstcy i po amerykańscu rozchełstani — traktują ich w gruncie rzeczy dobrodusznie, od niechcenia przepuszczając każdego przez wyżymaczkę biurokracji i rejestracji: ale nie wszyscy. Kirk Douglas jest nieubłaganym wrogiem wszelkiej zbrodni i każdego przestępcy. Ma po temu osobiste przyczyny: ojciec jego był kryminalistą, a cały charakter syna uformował się na walce z ojcem. Douglas jest bezwzględny wobec wszystkich przestępców, jest nieomal symbolem jakiegoś bezmiłosnej, starozakonnej sprawiedliwości. I oto ten wzór policyjnej i osobistej srogości dowiaduje się, że ukochana jego żona (Eleonor Parker) zanim wyszła za niego za mąż, miała nieślubne dziecko. Nie będę dalej streszczał filmu, aby nie psuć odbioru potencjalnemu widzowi. Można sobie wyobrazić, jak wielką tragedią dla surowego, zazdrosnego ... i nawet bezpośrednio poszkodowany wierząc, że wyrozumiałość prawa łatwiej nawróci go na drogę uczciwości niż demoralizujące więzienie.

Film „Detective Story" zbudowany został według sztuki scenicznej S. Kingsley'a i ma tę wadę, że większość akcji stłoczona jest w jednym miejscu. Mimo to jednak wielki ładunek problemów ogólnoludzkich, świetnie pokazanych w wyrównanej i zespołowej grze aktorów z Kirk Douglasem i Eleonor Parker na czele, uczyniły z tej adaptacji wybitne dzieło sztuki filmowej. Postacie niektórych przestępców (Lee Grant i Joseph Wiseman) są małymi arcydziełami sztuki aktorskiej w zakresie charakterologii. Wydźwięk filmu jest wybitnie chrześcijański, a nawet katolicki. Ponadto reżyser William Wyler nie zawahał się pokazać bezwzględność, a nawet daleko idącą brutalność amerykańskiego detektywa wobec nie osądzonych jeszcze podsądnych, co jest rysem społecznie słusznej krytyki.

*

„The House in the Square" — to nowa wersja filmowa sztuki John L. Balderstone'a pt. „Berkeley House", którą teatry obu kontynentów wznawiają co jakiś czas od roku 1926. Sztukę tę sfilmowano po raz pierwszy w roku 1933 z Leslie Howardem w roli głównej. Ówczesna jego kreacja była dużo ciekawsza i bardziej przemyślana od obecnej Tyrona Powera.

Tym, którzy nie znają sztuki ani pierwszej wersji filmowej, trzeba opowiedzieć treść. Peter Standish (Tyrone Power — w obecnej wersji młody badacz atomowy) przeniesiony zostaje nagle do innej epoki, mianowicie w wiek XVIII, o którym zawsze marzył i za którym tęsknił, jako za „wiekiem rozsądku i wdzięku". W tym samym domu, w którym mieszka, w domostwie pełnym mebli, miniatur i atmosfery georgiańskiej, znalazł kiedyś pamiętnik innego Peter Standisha z XVIII wieku. Obecnie wcielony w jego postać uderzeniem pioruna — znajduje się w czasie cofniętym wstecz i w dawnym otoczeniu. Nic go nie dziwi — zna osoby, które go otaczają, zna przeszłość i przyszłość wszystkich. Nie zatracił jednak swych poprzednich umiejętności: buduje instalację elektryczną i ciemnię fotograficzną — rzeczy nie znane ówczesnym ludziom, którzy oskarżają go o stosunki z diabłem i chcą zamknąć w domu wariatów. XVIII w. nie jest więc tak piękny, jak go sobie wymarzył młody uczony. Panuje w nim wszechwładnie głupota, wyzysk biednych i okrucieństwo. Nowe uderzenie pioruna w porę ratuje biednego Powera i przenosi go z powrotem w bezpieczniejszy wiek XX-ty, gdy nikt nie ma zamiaru zamykać ludzi nauki w zakładach dla obłąkanych. Do tej całej historii doczepiona jest oczywiście „love story" — poetyczna sprawa miłosna pomiędzy Peter Standishem a kuzynką jego z XVIII wieku — miłość, która poprzez wieki wyciąga do siebie ręce pełne wiary, że dopełni się w jakimś późniejszym wcieleniu.

Pomysł filmu nie jest nowy. Wielokrotnie był podejmowany w literaturze. W pełni został rozwinięty w jednej z najpiękniejszych powieści miłosnych — w „Wędrowcach świata" wielkiego Duńczyka Karla Gjelleruppa. Trochę ciągnięta za włosy historia Standisha i jego kuzynki Helen Pettigrew nie umywa się do sprawy Edmunda i Amandy z wymienionego wyżej dzieła czy do wielu innych miłosnych opowieści. Jednak dzięki prostocie i urokowi Ann Blyth ten właśnie wątek jest bodaj najmocniejszą stroną filmu. Nie udało się realizatorom dać syntezy wieku XVIII — stulecia walk o wolność Ameryki i choćby Rewolucji Francuskiej, wieku fermentów i potężnych indywidualności. To, co pokazali — to obraz zdumiewająco płytki i ciasny. W ogóle film nie grzeszy szerokością myślowych horyzontów, a ze sztuką filmową nie wiele ma do czynienia: Można go najwyżej potraktować jako niezłą rozrywkę dla ludzi, których historia niewiele obchodzi, których natomiast wzruszą łzy Ann Blyth i rozbawią towarzyskie gaffy wszechwiedzącego uciekiniera z XX wieku, choć z pewnością Francuzi wymyśliliby sytuacje znacznie bardziej komiczne i bardziej oryginalne. Film nakręciła wytwórnia 20th Century Fox, reżyserował Roy Baker.

»Lullaby of Broadway« jest filmem miłym, ale zbyt błahym, by zasługiwał na szczególowe omówienie w rubryce merytorycznej. Nic nowego nie wnosi na swą technikolorową i pełną tańców taśmę: oto po prostu dużo czeczotki, tańczonej po mistrzowsku przez Gene Nelsona i ładną, wiecznie w uśmiechu „wyzębioną", giętką jak trzcina Doris Day. Doczepiona do elementów muzyczno-tanecznych, chudziutka i wątła historyjka komediowa uchodzi w tłoku dzięki żywiołowemu humorowi S. Z. Sakala (nazwisko tego Węgra wymawia się Szakal, choć jego właściciel robi wrażenie łagodnego baranka). Reżyserował E. Baldwin, wytwórnia Warner Bros.

»Lightning Strikes Twice« wykłada się po polsku, że piorun uderza dwa razy, ale nie chodzi tu o grom z jasnego, czy choćby burzliwego nieba, lecz o dwukrotne, wyłonione z mętnego obłoku beztalencia scenarzysty, reżysera i dyrektora produkcji, postawienie przed sądem przysięgłych rzekomego mordercy żony, Richarda Todda, którego wytwórnia Warner Bros prawie porwała z Londynu po sukcesie w tutejszym „Hasty Heart". Todd zostaje uniewinniony ... nakręconym przez Warner Bros. (sp)

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Redakcja przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. ... PRENUMERATA ... Veritas Foundation Publication Centre ... Przedstawicielstwa ... FRANCJA ... NIEMCY ... SZWAJCARIA ... U.S.A.: ... Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews London W.2. Tel: PAD 9734